№ 18. Warszawa, dnia 30 (18) Kwietnia 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ULGA DLA „ZESŁAŃCÓW."

Od lat dwudziestu blisko polacy, wysłani drogą administracyjną do ciężkich robót lub na osiedlenie w Syberyi, wyjąwszy cząstkowe łaski, nie byli przedmiotem żadnego rządowego postanowienia, łagodzącego smutne ich losy. Tymczasem wszystkie wiadomości o tych pokutnikach zdawały się wskazywać porę słusznej poprawy warunków ich życia. Nietylko świadkowie, mniej lub więcej życzliwi, ale nawet same władze, dozorujące w Syberyi tak zwanych „zesłańców" polskich, wyznają jednozgodnie, że są to ludzie dziwnie uśmierzonego, rzec można — lojalnego charakteru. Zwłaszcza gdy do syberyjskich zborników więziennych zaczęły napływać burzliwe żywioły socyalistyczne, korna rzesza polskich wygnańców odbiła się przy nich uderzającą jagnięcością. Zapewnie, ludzie ci przed dwudziestu laty byli innymi i w oczach władz wyglądali inaczej; dziś jednak po długiej karze i oddaleniu od kraju, nietylko przedstawiają element bezpieczny, ale są niejako wymownem doświadczeniem, żywą przestrogą dla narodu. Zaiste, jeden powstaniec, wróciwszy z Syberyi, zdolny silniej oddziałać na społeczeństwo w duchu rozczarowania, niż wszystkie artykuły Katkowów i Suworinów. Ci z zesłańców, którzy nie mogli przenieść niedoli lub pogodzić się z jej skutkami, poumierali; pozostała reszta ukorzyła się przed wyrokami losu i przejęta trwogą wspomnień przeszłych myśli jedynie o spędzeniu życia śród swoich. Musiał do sfer wyższych przeniknąć odgłos takiej o nich wieści, bo—jak donosi *Dniewn. Warszawski* z wiarogodnego źródła — na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych nadano im pewne ulgi. Dotychczas polityczni „zesłańcy" polscy zaliczeni byli do stanu włościańskiego. Otóż: 1) tym, którzy znajdują się w guberniach Rosyi europejskiej, oraz w Syberyi wschodniej i zachodniej, i którzy odznaczyli się dobrem sprawowaniem, dozwolono zapisywać się do gmin miejskich; 2) wszystkich, do tej kategoryi należących, uwolniono z pod dozoru policyjnego z prawem zmiany miejsca dla zarobku; 3) pozwolenia na takie wyjazdy może wydawać wszędzie — z wyjątkiem gubernii Królestwa Polskiego i stolic — namiestnik Syberyi lub też gubernator, za każdym jednak razem osobno. Podobno skutkiem tego bardzo wielu zesłańców wystąpiło do ministra spraw wewnętrznych z podaniami o pozwolenie im zaliczenia się do stanu mieszczańskiego.

Mniej świadom rzeczy czytelnik zdziwi się nad pochopem do korzystania z tej ulgi i zapyta, co syberyjscy pokutnicy na tem zyskają, gdy zamiast włościan zostaną mieszczanami? Tymczasem z tą drobną napozór zmianą łączy się bardzo ważna korzyść. Większość zesłańców należała do klas oświeceńszych. Ludzie ci skazani na przymusowe mieszkanie po wsiach, pozbawieni zarówno środków do życia, jak sposobów i sił zarobkowania w tych warunkach, znajdowali się zwykle w strasznem położeniu. Ba i cóż miał począć jakiś student lub obywatel ziemski osadzony w małej, półdzikiej wioszczynie syberyjskiej, oddalony o setki lub tysiące wiorst od miasta? Jedynym sposobem uratowania życia było przyjęcie u chłopa obowiązków parobka. Do tego też wszyscy się uciekali. Ci, których szczęśliwszy los przeznaczył do miast, mieli daleko więcej dróg zarobkowania: zostawali nauczycielami prywatnymi, rzemieślnikami, kupcami i t. d. Wspomniane zatem rozporządzenie, dozwalające zesłańcom zapisywać się do gmin miejskich a przeto rozszerzające zakres swobody pracy, zwłaszcza przy możności zmiany miejsca, staje się niewątpliwą ulgą. Zachodzi tylko pytanie, czy ona dziś nie jest nieco spóźnioną, czy wielu jeszcze osiedlonych pozostało w gminach wiejskich? O ile nam wiadomo, niewielu, chociaż w braku jakiejkolwiek wiarogodnej statystyki do informacyi naszej nie przywiązujemy szczególnego znaczenia. Podobno większa część zesłanych przemieszkuje obecnie w miastach Syberyi; dla tych więc rzeczywistą wagę posiada jedynie możność przenoszenia się z miejsca na miejsce, chociażby tylko w granicach Rosyi europejskiej i Syberyi.

Co do owej możności nasuwa nam się jedna uwaga. Rozporządzenie powiada, że pragnący wyjechać do jakiegokolwiek miejsca z wyłączeniem Królestwa Polskiego i stolic otrzymują pozwolenie od namiestnika Syberyi lub gubernatora; otóż powstaje kwestya, czy to wyłączenie jest bezwzględnem, czy jedynie względnem do prawnej kompetencyi obu wspomnianych zwierzchników administracyjnych? Innemi słowy: czy zesłaniec nie może bezwarunkowo wyjechać do Królestwa, czy też nie może tego uczynić za pozwoleniem władz miejscowych, lecz musi je otrzymać od wyższej, np. od ministra spraw wewnętrznych? Chociażby to być miała wątpliwość *pii desiderii*, interesowani powinniby ją rozstrzygnąć praktycznie, t. j. sprobować, czy instancya naczelna nie przychyli się w pojedyńczych wypadkach do prośby skazanych. Bądź co bądź, skoro już zaczęto w tym kierunku postępować, sądzimy, że krok pierwszy nie będzie ostatnim. Spodziewamy się ulg dalszych, ostateczniejszych, z powodu tej przemiany, jakiej polscy osiedleńcy syberyjscy ulegli w ciągu dwudziestu lat swej pokuty, a która to prze-

miana daje rządowi zupełną rękojmię spokoju tych żywiołów.

DLA SZKÓŁ.

Potrosze pustka martwego życia, potrosze chęć zapełnienia jej w sposób pożądany przyczynia się do tego, że gazety opatrują swe oczy szkłami, powiększającemi znaczenie „nowych rozporządzeń.“ Gdybyśmy zebrali pojedyńcze nasze zachwyty nad rozmaitemi reformami, doprawdy złożyłaby się bardzo piękna sumka szczęścia. A jednakże..... łatwej domyślności pozostawiamy przetłomaczenie tych kropek na wyrazy. W ostatnich dniach prasa nasza znowu rozkosznie westchnęła nad „rozporządzeniem niemałej doniosłości:“ język polski ma być w szkołach zrównany co do praw z francuskim i niemieckim. „Przypuszczamy — powiada *Gaz. Warszawska* — że czytelnicy podzielą nasze przekonanie i słowa nasze będą wyrazem *całego kraju* (znowu!), iż powyższa uchwała z *najżywszą* przyjęta będzie radością, ale owszem wszyscy ludzie myślący z *niecierpliwością* wyglądać będą zdania pp. przełożonych, po których kraj ma prawo spodziewać się, że ważna ta sprawa zgodnie z prawdami *nauki pedagogicznej* rostrzygniętą będzie.“ Zaiste, *Nowoje Wremia* niesłusznie wiezie nas na stracenie z tablicą na piersiach: „nieprzejednani.“ Bo i jakże nam mało potrzeba! Dość nasz język ojczysty równouprawnić z.... francuskim i niemieckim, ażeby dzienniki polskie przyjmowały to dobrodziejstwo „z najżywszą radością,“ wyglądały go „niecierpliwie“ i nie wymagały niczego więcej, tylko żeby ta sprawa rozstrzygniętą była „zgodnie z prawdami.... nauki pedagogicznej.“ Czy można mieć wymagania skromniejsze!

Jeżeli język polski ma być porównany „co do *stanowiska* i liczby lekcyi tygodniowych“ z obcymi językami nowożytnymi, to jego szczęśliwą przyszłość w szkole najwierniej i najłatwiej odgadniemy, uprzytomniwszy sobie stanowisko francuskiego i niemieckiego w obecnych jej programach. Dawna tradycya naszych gimnazyów pod tym względem przechowała się bez wielkiej zmiany. Według tej tradycyi *niemcy* i *francuzy* są to nieraz i dziś jeszcze nauczyciele, który mswawolny żak w przystępie dobrego humoru na naganę odpowiada śmiechem, bo mu do promocyi nie przeszkodzą; oba te języki są to kopciuszki szkolnego programu, wraz z rysunkami i kaligrafią zepchnięte na szary koniec; są to przedmioty, z których uczeń drwi, które lekceważy, dla których nigdy w domu czasu nie traci, lecz w klasie pod ławką doryweczo z kawałkiem *Alibaby* się poznajamia. Jeżeli guwerner lub guwernantka w domu nie pomogą nauczycielowi w szkole, to jego wychowańcy wyjdą ze świadectwem dojrzałości i sumieniem niepokalanem ani jedną porządnie zbadaną deklinacyą języków nowożytnych. Ani życie nie zmusza ich do tej nauki, ani gimnazyum nie zachęca. W obecnym systemacie, w którym każdy niemal przedmiot, mechanicznie w głowy wwiercany, wydaje się uczniowi niezasłużoną karą jego młodości, francuski i niemiecki grają rolę najlżejszych strapień, z których można się łatwo otrząsnąć. Takie jest ich *stanowisko*, które ma zająć mowa polska i które wspomniana *Gazeta* przyjmuje z „najżywszą radością“ w imieniu... „całego kraju.“ Według nas, to nowe „stanowisko“ języka polskiego w gimnazyach ani nie zmieni dotychczasowej jego pozycyi, ani nie posiada wielkiej doniosłości. Przydana godzina tygodniowo nie przeważy szali edukacyjnej. Jest to drobiazg, nadający się do zapisania między nowinkami bez szczególnego znaczenia. Nie zapominajmy bowiem, że uczniowie naszych szkół znają swój język ojczysty, jeżeli więc czego potrzebują to jedynie wyższej w nim nauki, a tego stanowisko języków obcych im nie da. Potrzebują gruntownego wykształcenia gramatycznego, literackiego, wreszcie poznajomienia się ze słownictwem różnych umiejętności, słowem rozwinięcia naturalnego organu swych myśli — to dopiero powitalibyśmy „z najżywszą radością“ i odważyli się nawet objawić ją w imieniu „całego kraju.“ Obecny i zapowiedziany wykład mowy polskiej w gimnazyach (jeżeli będzie bezwzględnie obowiązującym) przyniesie główną korzyść kształcącej się w nich młodzieży rosyjskiej, która tym sposobem pozna przynajmniej elementarne zasady języka ludności, śród której dziś żyje a może kiedyś działać będzie.

Większe znaczenie posiada ta tak zwana „reforma“ dla szkół początkowych. Dzieci ludu zyskają przynajmniej większą sposobność nauczenia się czytać i pisać w języku własnym, czego dotąd pozbawiał je albo sprzeczny z ustawą okólnik b. ministra Tołstoja, albo po prostu zbytnia lękliwość lub gorliwość wiejskich nauczycieli. Na tem polu obowiązkowość z jednej strony, a pomnożenie liczby godzin z drugiej mogą poprawić dotychczasowy stan edukacyi ludowej. Czego, według dotychczasowych jej przepisów, mogły się nauczyć dzieci wieśniaka, teoretycznie obrachować trudno, a praktycznie dostrzedz łatwo — niczego. Cudem tylko nie traciły one daremnie czasu, urwanego od pasienia trzody chlewnej lub bydła. Do wszystkich ujemnych warunków, w jakich się znajduje nasza szkoła elementarna, do niedostatku środków i uzdolnień nauczyciela, do ciemnoty ludu, przybywał jeszcze brak łącznika między naturalnym organem jego myśli a przepisanym szkoły. Może świeże rozporządzenie choć w części złemu zaradzi; jeśli wszakże niektóre pisma, klaskając w ręce, zawieszają to nowe sitko na kołku, uwodzą się chyba jego nowością. My wolelibyśmy stare, z przed dwudziestu laty.

Gdyby na to potrzeba było jeszcze dowodu, mamy go pod ręką. *Kuryer Warsz.* donosi:

STARA POMPADUROWA [1]

przez

M. E. Sałtykowa (Szczedryna).

Dla nikogo niespodziewana dymisya starego pompadura nie była tak obfitą w gorzkie następstwa, w niczyjem istnieniu nie zostawiła takiej pustki, jak w istnieniu Nadziei Piotrówny Blamanget. Rewirowi, sekretarze i inni poddjacy, oczekując nowego pompadura, nazywali się ciągle rewirowymi, sekretarzami i poddjakami; ona tylko, w okamgnieniu i na zawsze, utraciła sławę, honory i znaczenie... Były chwile, w których zdawało jej się, że utraciła nawet swoją płeć żeńską...

— Przedewszystkiem, *ma chère*, dźwigaj krzyż swój z godnością—mówiłajej przyjaciółka, Olga Siemionowna Prochodimcewa, która niegdyś przez nią wprowadziła gdzieś swego męża na godność sekretarza: — nie zapominaj, że oczy całego miasta są na ciebie zwrócone.

Nadzieja Piotrówna zadrżała i myślą porównywała siebie z Izabelą hiszpańską. Cóż dla niej teraz znaczą „oczy całego miasta!“ Czemże one są dla niej, jeżeli tylko mierzą głębokość jej smutku! Straciwszy swego pompadura, straciła wszystko... nawet sposobność zostania patryotką!

Szczególnie ciężkie były dla niej ostatnie chwile rozstania. Jak zwyczaj każe, pożegnanie odbyło się na pierwszej stacyi od miasta, gdzie zebrali się najbardziej oddani dla odprowadzenia w dalszą drogę najlepszego z pompadurów.

Zakąsili, wypili, popłakali; sekretarz Prochodimcew do tego stopnia nawet zalał się łzami, że stary pompadur machnął tylko ręką i rzekł:

— Odprowadźcie go! Odprowadźcie go!... Poczciwiec!...

Jednakże Nadzieja Piotrówna powstrzymywała się i nawet dosyć zręcznie udawała wesołą. Proszono ją o śpiew—nie odmówiła; wzięła gitarę i zaśpiewała ulubioną piosnkę pompadura:

Trzy dziewice...

a dopiero w chwili, kiedy wypadło zaintonować:

Ty, Matriono!...
Ty, Matriono!...
Nie nawijaj mi się!...

głos jej jak gdyby zadrżał...

Ale kiedy doniesiono, że konie zajechały, kiedy stary pompadur zaczął się już ubierać i już wyciągnął ręce dla założenia waty do uszu, Nadzieja Piotrówna nie mogła wytrzymać. Zerwała szybko z własnych ramion włóczkową chusteczkę, a zawiązawszy ją na szyi pompadura, krzyknęła... Krzyk ten obudził echa sąsiednich lasów.

— *Nadine a eté sublime d' abnegation!* — mówiła potem jedna z dam, obecnych na pożegnaniu: wyobraźcie sobie, przez całutką drogę jechała z otwartą szyją i nawet nie chciała zakryć się salopą.

— *Et ce cri!*... — dodała druga: — *ce cri!* Było to jakieś natchnienie!... Było to po prostu coś takiego...

Bądź co bądź, stary pompadur wyjechał, wyjechał do takiego stopnia, że nawet ślady jego powozu tej samej nocy śnieg zatarł.

Nadzieja Piotrówna z rozpaczą myślała o tem, że już od dnia jutrzejszego zaczną ją nazywać „starą pompadurową.“

Nic tak chorobliwie nie oddziaływa na wrażliwe dusze, jak zmiany i straty.

Zdarza się, że wyniosą krzesło z pokoju, a już szukasz go oczyma i czujesz, że czegoś brakuje; można więc sobie wyobrazić, jakie wzburzenie moralne musiało nastąpić w całym organizmie Nadziei Piotrówny, kiedy się przekonała, że wyniesiono z jej mieszkania całego pompadura! Przez długi czas nie mogła się oswoić z tą myślą, przez długi czas coś jakby kusiło ją, jakby poruszało. Ręka jej machinalnie podnosiła się, aby

[1] Ze zbioru szkiców *Pompadurzy i Pompadurowe.*

Wszyscy dyrektorowie gimnazyów i naczelnicy dyrekcyj naukowych zostali zawezwani o udzielenie swoich uwag, oraz wskazanie, kosztem jakich przedmiotów ma być uzupełnioną *dotychczasowa liczba 12-tu godzin*, rozłożonych na klas sześć (poczynając od pierwszej do szóstej włącznie) tak, aby wszystkich godzin języka polskiego było w 8-miu klasach gimnazyum ogółem 19, t. j. tyle, ile jest obecnie niemieckiego i fracuskiego. Niektórzy jednak pp. dyrektorowie w żądanych od nich przedstawieniach wychodzą z fałszywej zasady. „Owe bowiem 19 godzin dzielą — jak oblicza *Kur. Warsz.* — nie na klas *ośm* lecz *dziewięć*, wliczając w nie już istniejące dwie godziny języka polskiego, wykładanego w klasie przygotowawczej, która mając etat i rozkład godzin niezależny od etatu i liczby godzin objętych ustawą dla ośmiu klas gimnazyum, a nadto osobnego nauczyciela, często wykładającego w niej i język polski, nie może wchodzić żadną miarą w rachubę. Klasa przygotowawcza może istnieć przy gimnazyum, lub nie, — nie wpływając wcale ani na rozkład godzin, ani na rozkład przedmiotów. Zastępuje tylko domowe wychowanie i nic więcej. Odrębność też jej do tego stopnia jest uwzględnioną, że przy uwalnianiu uczniów gimnazyum od opłaty wpisu szkolnego nie wchodzi w liczbę ogólną przy odtrącaniu 10 procentu. Nadto nie istnieje wcale w szkole realnej, do której także liczba godzin 19 wykładu polskiego języka została zastosowaną. Zaliczanie więc owych dwu godzin do 19-tu zatwierdzonych zupełnieby postać rzeczy w gimnazyach klasycznych zmieniło. W takim razie bowiem dotyczasowa liczba 12 godzin nie o siedm, lecz tylko o pięć powiększoną by została. Tym sposobem także zamiast dwu godzin w klasie siódmej i ósmej, jak to ma miejsce z językami: francuskim i niemieckim, byłoby tylko po jednej, co ze względu na przygotowanie odpowiednie do słuchania wykładów literatury w uniwersytecie nie byłoby dostatecznem. Nadto zaliczenie owych dwóch godzin klasy przygotowawczej do 19 i z tego względu nie jest logicznem, że już samo porównanie języka polskiego z językami niemieckim i francuskim, których wykładu niema w klasie przygotowawczej, stanowczo podobną kombinacyę wyłącza. Gdyby zresztą klasa przygotowawcza zniesioną kiedykolwiek została, liczba godzin w gimnazyum ograniczonąby była tylko do 15, co się z reskryptem nie zgadza."

Jeszcze do brzegu daleko, a już w statku dziury robią. Co będzie później? No, odgadnąć łatwo. Język polski uzyska *stanowisko* niemieckiego i francuskiego, a jakie to jest stanowisko — wiemy.

WIEK KREDYTU.

Słuchając rozpraw na posiedzeniach naszych banków i stowarzyszeń kredytowych, przypatrując się nagłemu padaniu finansowych dębów, pozbawionych korzeni, widząc rzetelne ubóstwo, nieznajdujące nigdzie pomocy, niejednokrotnie musimy rozmyślać nad potęgą i niedostatkiem kredytu. Zawsze wtedy wzdychamy do lepszych stosunków za granicą. Bezwątpienia są one tam lepsze, nie na tyle jednak, ażebyśmy w nich nie znaleźli odbicia własnych. Prof. K. Inama-Sternegg z Pragi pomieścił właśnie w jednem z pism niemieckich rozprawkę p. t. *Wiek kredytu*, gdzie ogarnął bystrem spojrzeniem jego obecny ustrój i uwydatnił te właśnie wady, które na naszym gruncie ekonomicznym wyskakują najwidoczniej.

Wielostronnie rozwinięte, śmiałe zastosowanie kredytu — powiada słusznie ten autor — obok siły pary odciska szczególne piętno na obecnem gospodarstwie naszem, na całem życiu cywilizacyjnem. Nigdy przedtem nie panował on tak nad stosunkami przemysłowymi i handlowymi; nigdy nie przybierał tak licznych i tak subtelnych form; nigdy używanie go nie było tak powszechnem i uporządkowanem; nigdy nie rozpościerał się na tak szerokie koło ludności. Ziemia, na której mieszkamy i której płody spożywamy, posiada swoje hypoteki; surowe materyały nabywa przemysłowiec na kredyt; wyroby przechodzą od niego do kupca, od kupca do kramarza, od kramarza do konsumenta drogą kredytu. Każdy jedną ręką daje, a drugą pożycza. Dziś kredyt nie zadawalnia się już ułatwianiem ruchu towarom, lecz wartość wszelkich dóbr, która zdaje się być złączona z niemi nierozerwalnie, czyni samoistnym przedmiotem handlu i nadaje mu odrębne zastosowanie, nie pozbawiając użyteczności w gospodarstwie tych dóbr życia, które ową wartość w sobie mieszczą. Nasze listy zastawne przedstawiają samoistną wartość miliona morgów ziemi, mimo że ziemia, będąca podstawą tego kredytu, nie przestaje nagradzać trudu rolnika swymi owocami. W wekslu zamienia kupiec dobre imię swej firmy na brzęczącą monetę, a w akcyi nadzieja przyszłych dochodów przedsiębiorstwa zyskuje w teraźniejszości wartość i postać dotykalną. Największe postępy w poprawie ziemi, olbrzymie i wzorowo urządzone fabryki, wspaniałe drogi i koleje żelazne powstały tylko dzięki kredytowi; jemu byt swój zawdzięczają nasze stolice, publiczne zakłady, kolosalne kanały i wodociągi. Rozpatrzywszy się w jego dziełach, przyznać musimy, że jest to najpotężniejszy czynnik postępu i pomyślności narodów.

Mimo wszakże całej okazałości w zastosowaniu kredytu, mimo całej swobody jego form, mimo całego uznania dla jego dobroczynnych skutków, wyznać musimy, że w cieniu pomników jego siły kryją się niezapokojone potrzeby ubóstwa, których dotąd do swego łona nie przygarnął. On, którego cała działalność ma spoczywać we wzrastaniu stosunków społecznego zaufania, którego antispołeczne użycie staje się chorobą, rozwija się nader jednostronnie i zamiast leczyć rany, grozi coraz większem ich rozdarciem. Obecny nasz kredyt jest przeważnie przywilejem bogatych. Silnie postawionym firmom, możnym przedsiębiorcom, książęcym posiadaczom zlewa do rąk miliony i pozwala im miliony zarabiać. Drobnemu rzemieślnikowi, wieśniakowi, wyrobnikowi odmawia swych usług. A przecież ci bardziej potrzebują jego pomo-

---

uszczypnąć, albo pogłaskać kogo po twarzy; głowa i cały korpus pomimowoli nachylały się smętnie, aby odpocząć na czyjejś piersi. W uszach wyraźnie słyszała czyjś głos; jej talia wstrząsała się, jakby od dotknięcia czyjejś ręki; pierś falowała i drżała; usta otwierały się do połowy, oddech stawał się urywany i gorący. Słowem, odbywał się w niej niejako sam przez się proces życia wczorajszego, kiedy szczęście pełnem jeszcze źródłem biło w jej żyłach, kiedy nie było istoty, któraby się nią nie zajmowała, nie podziwiała jej, kiedy dokoła niej roiły się niezmierzone tłumy nieśmiałych wielbicieli, kiedy ona, chcąc powstrzymać ich uniżone propozycye i oświadczenia, zmuszoną była mówić ze smętną abnegacyą: „Nie, panowie, o tem nie myślcie! To wszystko nie jest moje! Wszystko to i na wieki należy do mego miłego pompadura!..."

— Duszko, nie męcz się!... Otrzyj oczęta! — uspakajał Nadzieję Piotrównę jej małżonek, radca dworu Blamanget, klęcząc przed nią: — wierzaj, takie prosby, nigdy nie posyłają się bez celu! Z czasem...

— Co „z czasem?" — może pan myślisz mi *jego* zastąpić? — z oburzeniem przerwała mu Nadzieja Piotrówna.

— Aniołku, gołąbeczko! Gdzie zaś! — Gdzież ja!... Mówię... z czasem...

— Idź precz, jesteś obrzydły!...

Blamanget wyszedł do drugiego pokoju i stamtąd nieśmiało przysłuchiwał się westchnieniom Nadziei Piotrówny.

Blamanget był chłopcem potulnym i tytułował się „mężem pompadurowej" bez hałasu i bez szczególnego zuchwalstwa, ale tylko tak, jak gdyby godność ta zadowalniała go bardzo. Zdołał zyskać w mieście powszechny dla siebie szacunek przez to, że nie zadzierał nosa i nie był dumny. Inny, na jego miejscu, byłby się niezawodnie rozrzucał, udawałby tuza i płatał figle. On zaś nietylko nie figlował, ale trzymał się zawsze tak, jak gdyby mu składano życzenia świąteczne.

— Jak zdrowie Nadziei Piotrówny? — pytali go znajomi, spotkawszy na ulicy.

— Dziękuję — odpowiadał uprzejmie — w chwili kiedy wychodziłem, siedział u niej...

A potem, zrobiwszy nagle tajemniczą minę, szepnął do ucha znajomego:

— Znowu się poprztykali! — albo: — znowu pogodzili się! — zależało to od tego, czy znajomy wiedział, że przed tem nastąpił między pompadurami jakiś rozbrat miłosny, czy też pogodzenie.

Obywatele nietylko cenili taką równość charakteru, ale nawet upatrywali w niej oznaki męztwa. Wistocie nie można było nie cenić, gdyż wszyscy pamiętali jeszcze dobrze męża dawnej pompadurowej, korneta Otletajewa, który nietylko rozbijał po nocach winiarnie, ale razu pewnego nago ze sztandarem w ręku przebiegł konno całe miasto.

To też kiedy wyjechał dawny pompadur, Blamanget zmartwił się może bardziej, aniżeli sama Nadzieja Piotrówna. Czuł on, że i w jego życiu utworzyła się jakaś głębia; że chce komuś się ukłonić, niema komu; chce punktualnie wyjść z mieszkania, ale nie wie dokąd; chce powiedzieć: „jak pan rozkaże?" — a niema powodu. Po prostu stracił racyę wykonywania tych czynności i wypowiadania tych słów, jakie wykonywał i wypowiadał w ciągu kilkunastu lat z rzędu, a które razem wzięte utworzyły tak naturalne i ze wszystkich stron obronne otoczenie, że żył w niem jakoś milej i spał jak gdyby wygodniej i rozkoszniej.

Ze swej strony, i Nadzieja Piotrówna, w ciągu całego swego pompadurowania, postępowała z takim rozsądkiem i ostrożnością, że nietylko nie zaszkodziła sobie w opinii publicznej, ale nawet ją pozyskała. Prawda, że była dumną ze swego stanowiska, ale w tem znaczeniu tylko, iż sumiennie wypełniała rolę dobroczynnej czarodziejki, która przypadła jej w udziale z woli losów. Żaden poddjaczy nie odchodził od niej bez pociechy, żaden komisarz nie mógł odejść bez zachwytu dla jej łaskawego zachowania się.

cy, nietylko wtedy, gdy w chwilowych kłopotach pragną wyrównać obecne potrzeby z przyszłymi dochodami, lecz nadewszystko, gdy cudzym kapitałem torują sobie drogę do samodzielnej pracy. Kto posiada dziesięćkroć większy interes, używa nietylko dziesięć razy większego kredytu; jest nadto znany dziesięć razy obszerniejszemu kołu; jego zatem kredyt przewyższa dziesięć razy dziesięć kredyt drobniejszego współpracownika, dalsze zaś stosunki społeczne zapewniają mu sto razy lepszy. To też sto razy łatwiej mu dostać pożyczkę, gdyż w wielkiem kole możliwych jej źródeł daleko więcej spoczywa kapitału. Poważny dom handlowy zawsze znajdzie potrzebny kapitał; najpoważniejszy robotnik, który chce zacząć pracować samodzielnie, rzadko może na taką pomoc liczyć. Wynika to nietylko z niedoskonałości form kredytu, nieumiejących dopasować się do tego szczególnego zadania. Główne zasady tej formy znajdujemy już w zaliczkowych i kredytowych stowarzyszeniach przemysłowców, w kasach pożyczkowych ziemian, w bankach robotników. Owa jednostronność nowożytnego kredytu ujawnia się w niedostatku, spoczywającym daleko głębiej, w niedostatku społecznej organizacyi ludu, który mu odmawia najpotrzebniejszej pomocy. Kredyt bowiem służy każdemu, kto posiada zaufanie społeczne, a właśnie w warstwach najniższych, ekonomicznie najsłabszych, panuje zupełny brak zaufania, wynikający ze smutnego wyosobnienia jednostek. Dawniejsze komunistyczne formy społeczne, zabezpieczające życie osobnika, zaginęły, nawet życie rodzinne się rozluźniło, skutkiem czego indywiduum jest oderwane od łączności z innemi. Wielkie zaś stowarzyszenia czasów nowszych nie wciągnęły w swój zakres masy drobnych żywiołów ekonomicznych. Mieszczanin, wieśniak, robotnik— stracili dawne związki i nie nabyli nowych. Każdy z nich żyje o własnych siłach, wyosobniony, pozostawiony samemu sobie; może swobodnie dogadzać swemu egoizmowi, ale to właśnie kala jego moralność. Kto nie ma do stracenia społecznego zaufania, ten nie uszanuje żadnego. W tem więc społecznem wyosobnieniu, w tem braku zaufania śród klas niższych tkwi przyczyna nieistnienia między niemi kredytu; stąd także co najmniej zarówno wypływa ekonomiczne cofanie się, jak i z przewagi techniki wielkiego przemysłu i handlu nad małym.

Bacząc na to, pojmiemy słuszność nawoływań do organizacyi i skupienia sił. Egoizm niższy, uwzględniający tylko chwilowy interes jednostki, musi ustąpić wyższemu, który w rozwoju moralnych jej przymiotów widzi rękojmię szerszego uznania społecznego. Najwłaściwszą ku temu formą okazały się *stowarzyszenia*, w których każdy zyskać może uznanie dla swej wartości osobistej. Tu wytwarzać się mogą i powinny społeczne stosunki zaufania rozleglejszego zakroju. Stowarzyszenie daje jednostce kredyt, który ona w niem posiada; a gdy zrozumie, jak dobroczynną dla całego jej gospodarstwa jest pomoc kapitału kredytowego, strzeże pilnie godności swego zaufania. W stowarzyszeniu interesa łączą się z sobą; zależy ono zarówno od ekonomicznego powodzenia swych członków, jak to ostatnie od pomyślnego istnienia towarzystwa. Nie tylko skupia słabe kredyty osobników i wytwarza silniejszy, lecz je potęguje, otwierając potrzebie kredytu każdego członka szerszy rynek kapitału.

Głęboka myśl tkwi w obietnicy Mahometa, przyrzekającego wiernym, że za jałmużnę odbiorą w niebie dziesięć, a za pożyczkę ośmnaście razy większą nagrodę. Jałmużna bowiem zaspakaja istotnie potrzebę chwilową, ale pomaga przelotnie, osłabiając nadto energię i cześć przyjmującego. Pożyczka, udzielona w porę, ratuje trwale, wzmacnia siłę do pracy i odpowiedzialność dłużnika, budzi w nim samowiedzę i ufność zarówno do siebie, jak do innych. Taką zaś pomoc dać może tylko stowarzyszenie; sprawa więc kredytu jest sprawą społeczną i jako taka dotyczy nas wszystkich. Obecny wiek kredytu wtedy dopiero zasłuży na tę nazwę, gdy każdy człowiek będzie się mógł odwołać do cudzej pomocy, czując w sobie zaufanie.

W naszem społeczeństwie, posiadającem — że tak powiem — jedynie arystokracyę kredytu, otwiera się przed naszemi oczyma rozległa, wcale nieuprawna niwa, na której przy pomyślnych warunkach, rozpocząć się winna wielka praca kojarzenia rozerwanych sił słabych w ekonomiczne związki. Nie w jakiejś klęsce przypadkowej, nie w wypadkach, które dostrzegamy na wierzchu życia, nie w występkach i nadużyciach lichwiarskich kryje się przyczyna ubóstwa i nędzy niższych warstw ludności, ale w zupełnym braku jakichkolwiek stowarzyszeń. Naszymi środkami, tymi zasobami, które społeczeństwo posiada, moglibyśmy obdzielić się wszyscy, gdyby tylko można je było uporządkować i połączyć w sposób pożądany. To też w programie naszych życzeń ten punkt — możność zawierania stowarzyszeń—jest jednym z najważniejszych. Dopóki to wielkie prawo, otaczające swą dobroczynną opieką wszystkie społeczeństwa ucywilizowane, będzie wyłączone z zasad naszego istnienia, dopóty będziemy upadali pod krzyżem niedoli, dopóty jednostki biedniejsze będą ginęły jak muchy w sieciach lichwiarskich pająków, dopóty w życie nasze uderzać będą niszczące a niespodziewane pioruny ekonomiczne.

M. S.

Lord Beaconsfield.

(Beniamin Disraeli.)

II.

Jednym z najpotężniejszych i najświetniejszych wówczas (1830) ognisk życia to-

---

— O niej właśnie powiedzieć można — muchy nie skrzywdziła! — wołali chórem ci gorliwi wykonawcy rozkazów naczelniczych.

Do każdego niejako mówiła: spójrz, jak jestem łagodną, uprzejmą, słodką, dobrą! i jak powinien być szczęśliwy ze mną twój naczelnik! Każdemu potrafiła powiedzieć coś uprzejmego. Jednemu trzymała do chrztu córkę albo syna, dla drugiego była matką, u bezdzietnych jadała pirogi. Nie gniewała się nawet, kiedy ją w rączki całowano i prowadzono drażniącą nerwy rozmowę. Sama lubiła troszkę pokłamać, ale niech tylko rozmowa zaczynała być dwuznaczną, wtedy, bez żadnej zresztą obrazy, przerywała słowami: „Nie! O tem już bardzo proszę zapomnieć! To nie moje!... To wszystko należy do mego miłego pompadura!“ Słowem, strzegła pompadurowskiego dobra.

Naturalnie, obywatele i to potrafili należycie ocenić. Wspominali dawne pompadurowe, jakie były dumne i pretensyonalne, jak podsłuchiwały, obmawiały, a nawet pastwiły się; jak mianowały i degradowały, jak gnębiły podatkami i egzekucyami... Opowiadali sobie nawzajem o kornetowej Otletajewej, która pewnego razu rzuciła pomarańczą w swego męża na proszonym obiedzie, i nawet nie przeprosiła obecnych; a porównywając ten gwałtowny sposób postępowania z łaskawie delikatnymi, prawie niedosłyszanymi ruchami Nadziei Piotrówny, wszyscy jękli jednym głosem:

— Muchy nie obraziła! Najpośledniejszego woźnego — i tego nawet nie skrzywdziła!...

Słowem, w miarę tego, jak zachwycała swego pompadura, szacunek powszechny dla niej coraz bardziej wzrastał. Dlatego też opuszczenie stanowiska pompadurowej było nietylko dla niej znośne, ale nawet świetne. Zwykle bywa tak, że starą pompadurowę natychmiast zaczynają drzeć na kawały, t. j. zaczynają jej nie poznawać, robić w jej obecności pewne niewłaściwe ruchy ciała, nazywać duszką, nasyłać jej dorózkarzy; tu zaś przeciwnie, wszystko skończyło się najprzyzwoiciej. Całe miasto zrozumiało wielkość poniesionej przez nią straty, a kiedy pewien dowcipniś, ujrzawszy dnia następnego Nadzieję Piotrównę, w czarnem od stóp do głów ubraniu, klęczącą w cerkwi i powściągliwie ale szczerze modlącą się, zamierzał uczynić jakiś wolniejszy ruch ręką, to całe towarzystwo zaprotestowało przeciwko takiemu postępkowi tem, że zaraz po mszy udało się do niej z wizytą.

— *Jamais, au grand jamais! Même dans ses plus beaux jours, elle n'a été fêtée de la sorte!* — mówiła radczyni stanu Głumowa, wspominając o tym tryumfie niewinności.

— Po prostu, jak gdyby była nie Blamanget, lecz jakąś księżniczką! — dodawał od siebie rzeczywisty radca stanu Bałbiesow.

Nawet furmani przez długi czas wspominali, jak państwo jeździli „koić smutek Blamanżetów,“ tak wielkim był w dniu tym zjazd ekwipaży przed jej domem.

— Bardzo proszę, duszko, do nas jak dawniej! — prosiła Nadzieję Piotrównę marszałkowa Wiedieniejewa.

— Pani wiesz, jak byłyśmy przywiązane do tego, co dla pani tak drogie! — dodawała pani Prochwostowa.

— Pani wiesz, jak my cenimy, jak pojmujemy! — przerywała radczyni stanu Głumowa.

— *Mais venez donc dîner, chère... sans cérémonies!* — łaskawie zapraszała rzeczywista radczyni stanu Bałbiesowa.

— A im częściej, tem lepiej! — dodawał rzeczywisty radca stanu Bałbiesow, spoglądając na pompadurową śmiejącemi się ślepkami: — niedola pani jest wielką; ale, poważam się sądzić, że nie jest bez nadziei wyleczenia.

Do tak szczęśliwego obrotu rzeczy przyczyniło się niemało i to, że stary pompadur był jednym z tych, którzy zapalają nieugaszone płomienie w sercach obywateli, przyjmując w dnie galowe, nie lekceważąc proszonych obiadów ani wieczorów i z anielską cierpliwością podpisując podawane im papiery. Przypominali, jak dawniejsi pom-

warzyskiego był salon lady Blessington, słynnej piękności, połączonej ze swym szwagrem, hr. d'Orsay. Literacko salon ten odznaczał się zapamiętałą czcią dla Byrona, politycznie niechęcią do whigów. Obie te właściwości odpowiadały usposobieniu Disraelego. Łączyła się z niemi trzecia — przyjaźń dla rodziny Bonapartych. Dzięki niej, Disraeli spotykał u pani Blessington dwu ludzi, którzy odegrali później pierwszorzędne role — ks. Ludwika Napoleona i hr. Morny.

Pochłonięty przez życie towarzyskie, zmuszony rzucać olbrzymie wydatki w otchłań chciwości wyborców, przywalił się ciężkiem brzemieniem długów. Gdy po wielu porażkach, przerwanych zwycięstwem w zakątku Maidstone, wystąpił jako kandydat w Shrewsbury, przeciwnicy ogłosili wydane przeciw niemu wyroki, z których się okazuje, że od r. 1838 — 41 skazany został ogółem na zapłacenie 20.000 f. szt. długów. Złoto miało dla Disraelego nieprzywyciężony urok, bądź jako środek wpływu, bądź jako warunek szczęśliwego zbytkownego życia. To też po kartach jego powieści przesuwają się tylko milionerzy. Jego opisy szemrzą jak fale złotego potoku; gdy przyłożymy ucho do jego książki, słyszymy dźwięk złotej monety. Czy próbował dojść nagle do wielkiego majątku, czy grał? Sądząc z mistrzowskich, nadzwyczajną subtelnością psychologiczną odznaczonych scen jego utworów, zaledwie wątpić można. Czujemy w nich doświadczenie, jak czujemy je również w dumaniach nad... kredytem i lichwiarzami.

W takich warunkach rozpoczął Disraeli swą karyerę polityczną. W r. 1822 ministeryum whigów przeprowadziło wreszcie przez Izbę Wyższą reformę, podnoszącą ilość wyborców angielskich do 300.000. Tegoż roku Disraeli po raz pierwszy wystąpił jako kandydat w miasteczku High Wycombe. Pomimo jednak poczwórnej karety, mimo szyku, mimo rozlepionych po ulicach listów polecających od Hume'a i O' Connela, mimo kilkogodzinnej mowy, w której przybrał charakter radykała ludowego i dowodził, że reformę należy posunąć jeszcze dalej — został pokonany przez kandydata rządowego. Ustąpił z groźbą: „Wigowie weszli mi w drogę — pożałują tego.“ Zarówno to jak i następne wystąpienie, w którem także upadł, zjednało mu u przeciwników nazwę *Radical-Tory*. Przy tej nazwie winniśmy zaznaczyć, że w owej epoce charakter *whigów* i *torysów* nie był ściśle oznaczony i że obie partye zmieniały ciągle godła i mięszały się z pierwiastkami najrozmaitszej natury. Dopiero od r. 1830 rozdział między temi stronnictwami staje się coraz wyraźniejszy. Dzięki temu dziwnemu skojarzeniu sprzecznych elementów Disraeli długo pływał po falach radykalizmu, nim wreszcie zawinął do portu torysów. Niezdecydowaną jest jeszcze broszura *What is He?* wydana po trzeciej wyborczej porażce. Dopiero gdy Disraeli przy czwartej kandydaturze zaczepił O' Connela, który go zbiczował jako kłamcę, wkradającego się w zaufanie ludu, — w odpowiedzi na to biczowanie znać już większy ład w jego zasadach politycznych. Ale, niestety, mimo ufności w siebie, mimo wróżenia sobie tryumfu, po raz czwarty na wyborach przepadł.

Doszedł lat trzydziestu — wieku, który w życiu mężczyzny jest dobą największej płodności i energii. Z tego czasu pochodzą dwie powieści: *Venetia* i *Henrietta Temple*. Pierwsza z nich, posiadająca wysoką wartość literacką, osnuta jest na życiu ubóstwianego przez autora Byrona i Shelleya; druga znowu stanowi wątek czysto erotyczny. W obu (jak i w późniejszych) Disraeli wysunął kobietę na bardzo wydatne stanowisko. Zwykle każe on jej przyjmować nawet udział w życiu politycznem. Gdybyśmy spytali się jego powieści: „jaka chwila w życiu napawa nas największą dumą i szczęściem“ — wyszeptałyby nam: „chwila kiedy mężczyzna zastaje swoją ukochaną przy czytaniu mowy, która w przeddzień zyskała ogólny poklask parlamentu.“

W r. 1838 wydał Disraeli obie powieści; tegoż roku wystąpił jako kandydat w Maidstone. W mowie swojej do wyborców, obok twierdzeń czysto torystycznych, rozlał on tyle dbałości o interesa ludu, że aż wpadł na grunt socyalistyczny. Mianowicie, wydana przez whigów ustawa zaopiekowała się biednymi z tytułu litości. Otóż Disraeli oświadczył, że ta opieka należy im się prawnie — i mimo niebezpiecznego współzawodnictwa zwyciężył. A więc wreszcie osiągnął cel, do którego przez lat pięć dążył i od którego odsunęły go cztery porażki — został nakoniec członkiem Izby Niższej. R. 1837 umarł Wiliam IV, po którym nastąpiła królowa. Właściwy zatem początek działalności politycznej Disraelego przypadł jednocześnie z początkiem jej panowania. Wiadomo, jaki wpływ na losy deputata ma tak zwana „dziewicza mowa“ w parlamencie. Disraeli przez kilka tygodni milczał. Pewnego dnia weszła pod obrady sprawa poparcia kościoła protestanckiego w Irlandyi, przeciwko której wystąpił potężny O' Connel. Gdy skończył podniósł się Disraeli. Sam jego ubiór ściągnął na siebie uwagę swą niezwyczajnością: zielony surdut, kamizelka pokryta złotymi łańcuszkami, czarny halsztuk bez kołnierza. Częścią dziwaczne ubranie, częścią wieści, które poprzedziły ten występ, usposobiły Izbę szyderczo. Zaledwie też debiutant usta otworzył, powitano go głośnym śmiechem, któremu przewodniczyła partya O' Connela. Daremnie nieszczęśliwy Disraeli próbował uśmierzyć szyderstwa kolegów chłodnemi i grzecznemi uwagami; co chwila wybuchały one ponownie i zmuszały go do przerywania mowy. Nie mogąc wreszcie powstrzymać tej urągającej mu burzy, rzekł: „Nie dziwi mnie wcale to przyjęcie, jakiego doznałem. Niejednokrotnie już rozpoczynałem rozmaite rzeczy i nakoniec osiągałem powodzenie. Teraz usiądę,

---

padurowie rzucali a nawet deptali nógami papiery, jak włóczyli się po mieście, z pianą na ustach, jak kułakowali rewirowych po brzuchu, wołając: cóż! wiele tu pogrzebiono kurek i prosiątek!—jak nieprzyzwoicie zachowywali się na proszonych obiadach... i nie mogli nie podziwiać łagodności i delikatności nowego (niestety! dziś dymisyonowanego!) pompadura. A ponieważ i on, w początkach, okazywał pewne skłonności do deptania, a nawet kiedyś, obrażony na zarząd horodniczy, kazał umrzeć wszystkim jego członkom, nie bez podstawy więc domyślano się, że przemiana jego charakteru, była jedynym skutkiem dzięczkzynnego wpływu Nadziei Piotrówny.

— Pomyśl pan tylko, ile potrzeba było poświęcenia, ażeby poskromić takiego zwierza! — mówili jedni.

— Wszak ona, rzec można, każdy jego wybryk przyjęła na swoje ciało! — twierdzili inni.

— Tak, sztuka to nie mała! Zostać wtrąconą do jednej klatki ze zwierzęciem — i nie zbestwić się — dodawali inni.

Zarówno więc stary pompadur, jak i sama Nadzieja Piotrówna, a nawet radca dworu Blamanget, wszyscy działali wspólnie, wszyscy przyczyniali się, aby przywiązać do niej serca obywateli. To też, kiedy stary pompadur wyjechał, ona znalazła się wcale nie w tem fałszywem położeniu, w którem zwykle znajdują się wszystkie dymisyonowane pompadurowe, lecz po prostu stała się zajmującą ofiarą okrutnej administracyjnej konieczności. Jedno tylko wydawało się jej dziwnem: że w jej życiu ktoś, jak gdyby przeprowadził linię i powiedział przytem: „odtąd będziesz, jak dawniej, dziewicą!“

Pomimo jednak całej sympatyi ogółu, Nadzieja Piotrówna nie mogła zapomnieć o dziejach przeszłości. Stawały one przed nią, namacalne, żywe, jasne; szły za nią krok w krok, paliły jej policzki, gniotły piersi, kipiały we krwi. Nie mogła widzieć siebie w lustrze, ażeby wszędzie... wszędzie nie ujrzeć śladów pompadura!

— Brzydki jesteś pompadurku! Nadokazywałeś i wyjechałeś! — mówiła smętnie, siadając na sofce, a łzy sypały się ogromnymi brylantami na pałające policzki.

Radca dworu Blamanget chwile takie podchwytywał zwykle wlocie, — i pocichutku, jak gdyby miał nogi z aksamitu, zbliżył się do sofki.

— Kochanko moja! — zaczynał: — Bóg jest miłosierny!... Zczasem...

— Odczep się! Obrzydłeś mi! Wszystko paskudne! Wszystko wstrętne! Wszystko nieznośne! — krzyczała na niego a nawet często rozbijała przytem jakąś drobnostkę.

Przedewszystkiem przypominały jej się pierwsze miodowe dnie ich znajomości. Że go zachwyciła — nie było w tem nic dziwnego. Była to jedna z tych uroczych kobiet, obok których żaden człowiek, mający komendę przy rogatkach, nie może przejść bez drżenia. Szczególniej zaś drażniąco oddziaływał jej chód, a kiedy, wyprężona, nie szła, ale raczej płynęła po ulicy, to pompadur, sam tego nie spostrzegając, zaczynał podskakiwać. Wielu probowało oprzeć się urokowi tego chodu, każdy jednak uległ. Razu pewnego jeden z akcyzników założył się nawet, że oprze się, ale zaledwie zrównał się z przechodzącą, wrzasnął do takiego stopnia, że mieszkający opodal mieszczanin Połotiebnow powiedział do żony: „a co, Marysiu, zda się zając pieśń zaśpiewał w lesie!“ W tem położeniu zastał go stary pompadur.

— Jesteś pan w tym wieku, że, zdaje się, winieneś rozumieć sam, iż gwizdać na ulicy nieprzyzwoicie! — rzekł do niego surowo.

Lecz akcyzny nawet nie przeprosił, ale dalej klaskał językiem coś niezrozumiałego, wskazując ręką na oddalającą się Nadzieję Piotrównę.

Od tej chwili wszystko między niemi poszło, jak po maśle.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ale przyjdzie czas, w którym będziecie mnie słuchali.“

Vae ridentibus! Biada śmiejącym się, którzy nową siłę pragną pokonać kpinami. Ci, którzy się śmieją, podobni są do tych, którzy krzyczą *hura!*; jest to tłum, najprzód nierozumiejący niczego, a w końcu podziwiający wszystko. W tydzień po niepowodzeniu Disraeli znowu przemówił — krótko i nie wyzywając nikogo. Metodę tę powtórzył kilkakrotnie — i zawsze mu nie przerywano. Następnie zaczął rozwodzić się dłużej — słuchano go. Z mów tych szczególnie zasługują na uwagę dwie: w jednej Disraeli zajął stanowisko obrońcy kościoła państwowego, a w drugiej wystąpił przeciwko tak zwanej „prośbie narodowej.“ Podali ją *chartyści*, uważani, niedość słusznie, za pierwszych socyalistów angielskich, gdyż najprzód żądali oni tylko reform politycznych, a powtóre nie opierali się na oderwanych prawach człowieka, lecz domagali się zmiany w ustawie wyborczej i w organizacyi ciał prawodawczych. Prośba ta, natchnięta przez przywódcę ruchu, O' Connora, opatrzona była 1,200,000 podpisów, tak że musiano użyć osobnej maszyny dla wniesienia olbrzymiej masy pergaminu do parlamentu. Niema ta jednak i olbrzymia przedstawicielka żądań ludu tak dalece nie zasłużyła na uwagę Izby, że szanowni posłowie nie chcieli jej poświęcić chwili czasu, zajęci... konstytucyą dla Jamajki. Jeden tylko Disraeli zabrał głos, przypisując cały ruch agitacyi whigowskiej.

W kilka miesięcy po wystąpieniu w tej sprawie Disraeli zaślubił o dziesięć lat starszą wdowę po swym koledze Lewisie. Małżeństwo to, źle tłomaczone z pozorów, spajała szczera miłość. Pani Disraeli była zakochaną w swym mężu, przyjmowała żywy udział w jego czynnościach politycznych z zapałem, który doskonale odznaczył się w następującym wypadku. Raz odjeżdżając do parlamentu, zgniotła sobie drzwiczkami karety kilka palców. Ażeby nie zmartwić męża i nie przeszkodzić w ważnej mowie, którą miał właśnie wypowiedzieć, nie wydała najmniejszego krzyku i przesiedziała śród cierpień do końca sesyi. Gdy w r. 1868 Disraeli odmówił przyjęcia godności para, prosił królowę o przyznanie żonie tytułu *lady of Beaconsfield*; dopiero w trzy lata potem sam został *lordem*. Małżeństwo to jeszcze bardziej zdecydowało jego pozycyę społeczną. W owym czasie spoiła się grupa młodziutkich arystokratów pod nazwą „Młodej Anglii,“ a właściwie starej, która wywiesiła romantyczny sztandar dawnego kościoła i szlachty. Na czele tej drużyny stanął poszukujący stronnictwa Disraeli, owocem zaś stosunków z reakcyjnemi młokosami była powieść, a raczej galerya charakterów *Coningsby*, w której autor zamierzył nakreślić im program i oprzeć partyę torysowską na nowych podstawach — ludowych. Według niego winna ona być *konserwatywną*, lecz niebezwzględnie, tylko rozumnie strzedz tego, co na zachowanie zasługuje. Dotąd bowiem składała się z ludzi, których zasadą polityczną było: 1.200 funt. szt. z kwartalną wypłatą. Logikę tych polityków Disraeli tak charakteryzuje: „pobierać 1.200 f. szt. rocznie jest rządzić; starać się pobierać 1.200 f. szt. znaczy tworzyć opozycyę; życzyć sobie pobierać 1.200 funt. szt. jest to być ambitnym.“ Na miejsce tych reguł „Młoda Anglia“ miała wprowadzić geniusz i trwałe zasady.

FORMY I SIŁY POLITYCZNE *)

według

Herberta Spencera.

W świetnym rozwoju idei fizyologicznych wielką rolę odegrało odkrycie, które dało nam poznać, że organizmy, niemające napozór nic wspólnego w stanie dojrzałym były jednak bardzo podobne w stanie pierwiastkowym, oraz że wszystkie pochodzą od wspólnej budowy. Znajomość tego prawa nietylko zmieniła nasze pojęcia o stosunku organizmów, ale i o stosunku ich składowych części między sobą.

Jeżeli narody się rozwijały, jeżeli wzajemna zależność, wiążąca ich części, warunkująca współdziałanie społeczne i nadająca społeczeństwom znaczenie prawdziwych ciał zorganizowanych, jeżeli ta zależność powstawała stopniowo, trzeba przypuścić, że wbrew różnicom, które znamionują postacie rozwinięte, istnieje budowa początkowa, od której wszystkie pochodzą.

Jeżeli poznamy tę pierwotną jedność, to skonstatowanie tego faktu pomoże nam wyjaśnić różnorodność końcową. Zrozumiemy lepiej, jakim sposobem w każdem społeczeństwie różne pierwiastki władzy politycznej doszły do tego stanu, w którym je widzimy i jakie stosunki wiążą je ze sobą wzajemnie.

Gdy naprzykład niezorganizowana horda ma rostrzygać kwestyę przeniesienia się lub obrony przeciwko nieprzyj[illegible]ielowi, to składające ją jednostki podzi[illegible]ą się mniej lub więcej wyraźnie na dwa odłamy: starsi, mocniejsi, których siła i odwaga jest już wypróbowaną, utworzą mniejszą grupę, biorącą udział w rozprawach, gdy tymczasem większa, złożona z młodych, słabszych i nieodznaczonych, ograniczy się do roli słuchaczów, wyrażających tylko swą zgodę lub naganę. W grupie przewodniczącej znajdą się ludzie, których wpływ zwycięży. Będzie to jakiś myśliwy starzec, wojownik znakomity, zdolny czarodziej, którego zdanie przeważy tak, że w jego duchu działać będzie cała horda, która tym sposobem podzieli się na *trzy grupy*.

Te pierwsze zaczątki budowy politycznej, których formacyę uważa Spencer *a priori* za samorodną (*spontaniczną*), powstały u ludów najmniej rozwiniętych; powtarzanie nadaje im możność wytworzenia stałego i trwałego porządku. Gdy które pokolenie krajowców Wiktoryi gotuje się do zemsty na innem pokoleniu za zabicie jednego ze swych członków, zbiera się rada złożona ze starców, kobiety tworzą zewnętrzne koło, otaczające mężczyzn, a naczelnik (zwykle osoba, mająca największy wpływ) otwiera radę. Dzieje się to w zgromadzeniu, w którem istnieją tylko naturalne różnice, wynikające z siły, wieku i zdolności. Toż samo widzimy tam, gdzie te różnice nabrały bardziej określonego charakteru. Spotykamy to w opisie konferencyi komisarzów Stanów Zjednoczonych z czyppewejami, ottawami i pottowatomami opisanej przez Schoolcrafta, który był jej świadkiem. Po przemówieniu komisarza ze strony indyan zabierali głos różni naczelnicy, począwszy od człowieka „szanownego wiekiem i położeniem,“ a jeden w swej odezwie tak rozróżnia członków zgromadzenia: „Oto widzicie mych braci starych i młodych, wojowników i wodzów, kobiety i dzieci mego narodu.“ Ten porządek polityczny jest pospolitym, gdyż znajdujemy go nawet w częściach Ameryki, gdzie naczelnicy otrzymali odznaczenie za nabyte zasługi.

U rozmaitych ludów odmiennego typu, zajmujących siedziby oddalone, spotykamy tę formę pierwotną rządu, zmodyfikowaną w szczegółach, ale wgłębi mającą ten sam charakter. W Nowej Zelandyi naczelnicy plemion w sprawach ogólnych, gdy idzie o zawarcie pokoju lub wypowiedzenie wojny, muszą uwzględniać zdanie większości; na wyspach Tahiti król otoczony szczupłą radą przyboczną nie może nic zdziałać w ważnych wypadkach bez zasięgnięcia rady u drugorzędnych właścicieli ziemskich, zebranych w zgromadzenie publiczne. To samo dzieje się u malgaszów. Na Madagaskarze radę narodową stanowi zgromadzenie ludu stolicy, naczelników prowincyi, miast i wsi, na którem król osobiście przewodniczy. W tym ostatnim przykładzie widzimy, jak grupa wewnętrzna pozyskała większą władzę z uszczerbkiem mieszkających w głębi kraju, ale trzy zasadnicze odłamy zawsze tu istnieją i znajdujemy je także, przechodząc do narodów historycznych. W Tyrze, za czasów Aleksandra, senat wraz ze zgromadzeniem narodowem rostrzygał o wojnie, bez zgody i obecności króla; w Grecyi homerowskiej *agora*, tj. zgromadzenie ogólne, składało się z wodzów, prowadzących narady wobec ludu, który wyrażał swe zadowolenie, otaczając wodzów, ale nie zawsze bywał bierny, jak o tem świadczy zmiana w Iliadzie sprzeczka garbatego Thersytesa z Ulissesem. W Rzymie pierwotnym król, senat i ludzie wolni jakkolwiek nie łączyli się w działalności współczesnej, jednakże w ważnych wydarzeniach król komunikował swe projekty zgromadzonym obywatelom, którzy wyrażali zgodę lub naganę, gdy naczelnicy plemion, składając senat, mieli dość siły w danym razie unieważnić zamiary króla i obywateli.

Ta forma ustroju politycznego jest pierwotną, ponieważ spotykamy ją na początku życia społecznego nietylko u ludów wyższych, aryjczyków i semitów, ale u niektórych polinezyjskich i czerwonoskórych Ameryki Północnej. Na początku niema żadnej innej siły rządowej, tylko wola wspólna, wyrażona przez gromadę. W określeniu tej woli główną rolę mogą grać ludzie nieliczni o uznanej wyższości. Pomiędzy nimi znajdzie się jeden znowu najwybitniejszy. W tem ukształtowaniu pierwotnego ustroju politycznego, niezależnie od pojawiających się różnic ludzi wyższych i niższych, niezależnie od pierwotnych objawów władzy głównego naczelnika, zauważyć trzeba przedewszystkiem niejasne zarysy budowy politycznej *troistej a jednej*. Te trzy składowe pierwiastki podlegają zmianom mniej lub więcej znacznym, uwarunkowanym już to przez czynną naturę jednostek, składających grupę, już to przez okoliczności fizyczne albo zajęcia wojskowe i pokojowe, już to nareszcie przez charakter wyjątkowy pewnych osobników. Przymioty osobistej siły i zręczności, często uważane za dary nadprzyrodzone, mogą dać pewnym członkom plemienia wpływ, który przechodząc dziedzicznie przekazuje spadkobiercom ten sam charakter nadnaturalny i może dać początek władzy, która wynosi się nad naczelników i całą masę ludu. Szczęśliwe wojny, nadające energię i sprężystość pewnej grupie politycznej, sprawiają, że może ona ujarzmić inne grupy, niemające tyle energii i karności. Gdy zaś członkowie niższej grupy zachowują swe zwyczaje tak, że się oprą przymusowi, mogą otrzymać nad innymi naczelne zwierzchnictwo. Chociaż wszakże podczas rozwoju te pierwiastki zasadnicze zmieniają stosunek w rozmaitych stopniach, chociaż nawet niektóre upadają i schodzą do stanu zanikowego, jedna oko-

*) *Revue philosophique*, marzec 1881.

liczność modyfikuje stanowczo nasze poglądy na formy polityczne, mianowicie pochodzenie ich wspólne od tej pierwotnej formy. Trzeba więc uważać monarchię despotyczną, oligarchię i demokracyę za typ rządu, w którym jeden z pierwiastków początkowych rozwinął się ze szkodą dwu drugich i podzielić rozmaite typy mięszane odpowiednio do stopnia wpływu, zachowanego przez jeden z pierwiastków początkowych.

Czy istnieje jaka jedność zasadnicza sił politycznych, towarzysząca tej jedności form? Tracąc z oczu początek wspólny ustrojów politycznych, przestaliśmy dostrzegać jasno początku ich potęgi. Zwykle jesteśmy zdolni do zapominania o rzeczach dalekich, gdy myślimy o bliskich. Widzimy naprzykład okręt rozbity na skałach, uznajemy w tem niszczącą potęgę morza, a jednak zastanowiwszy się, dojdziemy do przekonania, że morze samo przez się jest bierne i że siłę niszczącą nadały mu prądy powietrza, które znowu uważane same w sobie jest także bierne, albowiem ruchy jego i wichry są wynikiem rozmaitych działań ciepła słonecznego na różne części powierzchni ziemi. Idąc tak dalej, dojdziemy do przyczyny tego działania w skupieniu masy słonecznej, wywołanem przez wzajemne ciążenie cząstek. Popęd do przypisywania siły widomemu narzędziu, które ją wykonywa, nie zaś niewidzialnej przyczynie, z której ona wynika, ma wpływ bardzo niekorzystny na nasze pojęcia wogólności, a między innemi na nasze pojęcia polityczne. Bezwątpienia, w przeszłości zwyczaj uważania siły rządów jako przymiotu, tkwiącego w nich samych, stopniowo się zamodyfikował pod wpływem rozwoju instytucyj ludowych; mimo to jednak i dzisiaj jeszcze niedość jasno pojmowaną jest ta okoliczność, że rządy nie mają bynajmniej mocy same przez się, ale są tylko narzędziami, zapomocą których działa pewna siła. Ta siła istniała przed powstaniem rządów, ona to właśnie je stworzyła, ona to w różnych postaciach działa za ich pomocą. Przykładów na to dostarczy znowu życie ludów pierwotnych. U grenlandczyków, którzy obywają się zupełnie bez władzy politycznej, pokrzywdzony członek plemienia wyzywa przeciwnika na walkę poetyczną, układa satyrę wygłoszoną wobec całego plemienia, a ten pojedynek satyryczny kończy się wygraną tego, kto ma ostatnie słowo. Podług Crantza bojaźń bezcześci publicznej jest największym hamulcem dla grenlandczyka: widzimy tu w formie pierwotnej i bezwzględnej rządzący wpływ uczucia zbiorowego, który poprzedza wpływy rządzące, bardziej szczegółowe. Z bojaźnią nagany społecznej łączy się niekiedy kara wygnania, praktykowana w różnych formach u australczyków, u plemienia kolumbijskiego saliszów, u krajowców górali w Indyach u bodosów i dimalów i t. d.

Zauważyć trzeba, że władza polityczna nawet długi czas po widocznem ukształtowaniu się podlega powadze uczucia publicznego. Przykłady na to znajdziemy u indyan „wężów,“ u chinuków, u pokolenia dacotah, u krików, kirgizów, ostyaków, nagosów, hottentotów z pokolenia koranna, a nawet u kafrów, gdzie król zajmuje ważne prawodawcze stanowisko. Władza naczelników jest zależną wszędzie, albo od ich osobistych przymiotów, albo od woli narodu a nawet zgody jednostek, mogących łatwo się z pod niej wyłamać.

W swej pierwotnej zatem formie potęga polityczna jest poczuciem wspólności, działającem za pomocą instytucyi, przez nie wytworzonej formalnie lub też nie.

Uczucie zbiorowe, które zrazu działa samo przez się a potem za pomocą widomego czynnika, jest do pewnego punktu samorodnem poczuciem osób interesowanych a bardziej jeszcze opinią, im narzuconą lub przypisaną. Przedewszystkiem siła pobudzająca, która warunkuje ogólny sposób czynności, pochodzi od przodków, jest ona wytworem wszystkich przeszłych objawów czynnych; drugorzędne zaś motywy szczegółowe, wyznaczające granice postępowania, są wytworzone w pierwotnych czasach życia i podległe wierzeniom oraz zwyczajom stanowiącym dziedzictwo gminy. Uczuciem kierowniczem jest więc nagromadzone i zorganizowane uczucie przeszłości. Zwyczaje władcze są tak silne, że niepodobna ich unikać choćby naprzykład nakazywały u niektórych plemion wybijanie zębów, tatuowanie i męki. Świadczą one, że siła kierownicza, istniejąca przed ukształceniem ustroju politycznego, nie jest niczem innem, jak opinią utworzoną stopniowo przez niezliczone pokolenia. Nie stanowi jej właściwie opinia, która sama przez się jest bezwładnym produktem intellektualnym, ale poruszenie, które towarzyszy tej opinii. Zwyczaje przodków mają ogromne znaczenie u tupisów u hotentotów z pokolenia koranna, u araukanów u dajaków i u malgaszów, u których zmiany są niedopuszczalne a pojęcie postępu niemożliwe. Słowem, zanim ukształtuje się określony ustrój polityczny, istnieje władza, wypływająca częścią z opinii publicznej ludzi żyjących, a bardziej z opinii publicznej ludzi umarłych, a gdy ta władza powstanie, to jej działanie kierownicze polega na woli ogółu oraz na narzuceniu prawideł dziedzicznych postępowania, w których wcielają się uczucia i pojęcia tradycyjne. Widzimy to u alfurów, u kirgizów, mieszkańców Sumatry, gdzie sądy i wyroki władców opierają się na podstawie zwyczajów odziedziczonych po przodkach.

Zależność książąt od zwyczajów przeszłości, widoczna u wielu ludów pierwotnych, znajduje się w pozornej sprzeczności z przykładami widocznego panowania jednej woli w narodzie, która wyraża się w łatwości, z jaką tyran pozbawia mimowolnie życia, szafuje dowolnie krwią i mieniem tysiąców. W jaki sposób należy zmodyfikować to pierwotne twierdzenie? Obok tego, że w pierwszych epokach rozwoju społeczeństw organa rządu są produktem uczucia ogólnego, należy przypuścić, że pierwotne stosunki komplikują się, gdy wskutek wojny mniejsze grupy ukształtują się w większe.

Władza, narzucona siłą przez najeźdźcę, nie może mieć znamienia powagi, która się rozwinęła w łonie samego społeczeństwa; gdy zaś naczelnik polityczny opiera swą władzę na poczuciu części panującej w społeczeństwie, albo przeciwstawia sobie różne uczucia wyższych i niższych części narodu, posiada wtedy środki nadania swej osobistej woli naczelnego znaczenia. Pomimo tych zastrzeżeń rzec można, że prawie cała siła, wykonywana przez ustrój polityczny, wynika z uczucia tej części narodu, która może ją ujawnić, że opinia części panującej jest główną przyczyną akcyi politycznej. Tak się działo w Rzymie, gdy władza cesarska zależała od pretoryanów, tak się dzieje teraz w Dahomeyu.

Siła woli ogólnej ciąży na woli samowładcy, który jest obowiązany szanować i zachowywać całość praw, będących produktem uczuć i pojęć przeszłości, jak to się działo w Egipcie, gdzie długo wiekowe dynastye panowały, nie zmieniając starodawnego porządku. Samowładca nawet, chociaż potęgę swą chce boskiem pochodzeniem naznaczyć, jest jednak związany przez tysiące zwyczajów, które zamieniają życie jego na prawdziwą niewolę.

Główną zasadą jest to, że, jeżeli formy i prawa każdego społeczeństwa są produktami skonsolidowanymi poruszeń oraz idei tych, którzy żyli w przeszłości, to stają się widocznie przez władzę, jaką mają nad uczuciami i pojęciami istniejącemi. W najogólniejszem znaczeniu poczucie wspólności jest jedynem źródłem władzy politycznej u społeczeństw niepodległych cudzemu panowaniu.

Nauka wykazała, że trzeba w przyczynach działających dopatrywać się przyczyn, które wywołały za pomocą podobnych czynności przeszłych stan rzeczy obecny. Idąc za tą wskazówką, można stwierdzić poprzednie wywody.

Współczesne zgromadzenia publiczne dają nam przykłady tego samego różnicowania, jakie stanowi charakter pierwotnego ustroju politycznego. Znajdujemy tu ogół tworzący audytoryum, którego rola ogranicza się na potwierdzeniu lub odrzuceniu wniosków, znajdujemy część mniejszą złożoną z ludzi wybitnych i wpływowych, nakoniec wśród nich istnieje człowiek, zwykle najznakomitszy, będący królem chwili. Gdy przypadkowe zgromadzenie staje się ciałem trwałem — stowarzyszeniem, spółką, klubem — trzy te części, zrazu niewyraźne, przybierają kształty określone i stają się prezydentem, komitetem i członkami lub akcyonaryuszami, a stosunki tych różnych czynników zmieniają się stosownie do natury i rozwoju tych organizmów zbiorowych.

Potęga uczucia zbiorowego, jako czynnika kierującego, ukazuje się w tej władzy nieprzepartej, jaką ma opinia społeczna nad czynnościami wogóle. Widzimy to w bezwładności praw przeciw pojedynkom, w niemocy nakazów i gróźb religijnych, uzbrojonych klątwą potępienia a niezdolnych powstrzymać najbardziej krzywdzących napadów, wywołanych przez interesa lub namiętności panujące. Dość zwrócić uwagę na siłę praw zwyczajowych i przepisów mody, aby widzieć, że moc kodeksu towarzyskiego, prawa niepisanego jest silniejszą, aniżeli prawo pisane i nakazy religii.

Rzut oka ogólny na czynności człowieka zniewala nas uznać, że podobnie jak w początkach społecznego życia czynności te są kierowane przez uczucie zbiorowe, przeszłe i teraźniejsze, że ustrój polityczny, wytworzony przez to uczucie w stopniowym rozwoju, zostaje jeszcze teraz głównym organem pewnej wyszczególnionej części tego uczucia, rządzącym czynnościami rozmaitego rodzaju.

Indukcya ta jest zasadniczym pierwiastkiem teoryi politycznej. Chociaż wydaje się pospolitą, jest jednak uznawaną raczej w słowach aniżeli w faktach. Nawet w Anglii i innych krajach konstytucyjnych nie jest zrozumianą jak należy ta okoliczność, że popędy skombinowane, które działają za pośrednictwem narzędzi politycznych, mogą w braku tych narzędzi wytworzyć inne, za pośrednictwem których działać będą. Ludzie, którzy tworzą politykę rozumują tak, jakby te narzędzia państwowe posiadały siłę własną, której nie mają, jakby uczucie, wytwarzające te narzędzia, nie miało tej rdzennej mocy, jaką posiada. Oczywiście zburzenie tych pojęć musi mocno rozstroić ich działania.

KORESPONDENCYE PRAWDY.

Z PETERSBURGA.

20 kwietnia.

Proces się skończył, nawet w dziennikach — straszny wyrok spełniony; zanim więc nastąpią inne wrażenia, spieszymy myśleć, a raczej mówić o czem innem. Otóż szkoła dla młodzieży rozmaitego wieku stanowi dziś przedmiot dnia. Przyszedł rzeczywiście czas wielki zastanowić się seryo nad środkami zatrzymania młodych pokoleń na drodze normalnej i nad przyczynami, które je z niej sprowadzają. Teraz musiano się przekonać ostatecznie, że środki policyjne nie starczą na wszystko, że kwiat młodzieży dochodzi

wieku dojrzalszego gdzieś daleko od kraju, po za warunkami bytu cywilizowanego — i że stan ten trwa już przynajmniej lat dziesięć.

Sypią się więc projekty, artykuły, prócz tytułów nic wspólnego niemające ze sobą, a wszystkie traktujące szkołę mniej więcej oderwanie od ogólnego porządku rzeczy, zanadto wiele, zdaniem naszem, przypisujące znaczenia samej organizacyi szkolnej, jak gdyby jakikolwiekbądź jej charakter mógł sam ochronić młodzież od ulegania prądom ogólnym, nurtującym masy społeczne. Organizacya szkolna, mająca bez zaprzeczenia stanowczy wpływ na dzieci, wychowujące się w zakładach niższych i średnich, — daleko mniej oddziaływa na młodzież uniwersytecką; należy więc pamiętać, że sama przez się nie jest ona w stanie usunąć „zamięszań studenckich,“ gdyż po za nią stoi życie samo, życie narodowe i społeczne, obchodzące studentów, jako członków społeczeństwa, najczęściej pełnoletnich. Uniwersytety, zwłaszcza petersburski i moskiewski, zwracają dziś na siebie powszechną uwagę. Okoliczności tak jakoś się zbiegły, że w jednym prawie czasie wychowawcy ich ulegli sądowi profesorskiemu, i w ten sam dzień prawie zostały ogłoszone wyroki. Wyroki te mocno obchodziły publiczność, gdyż dziś obwinionych bardziej nieprzewidziane niż zwykle mogą oczekiwać skutki. Wogóle wyrok uniwersytetu tutejszego okazał się łagodniejszym, ponieważ z ogólnej masy oskarżonych sąd profesorski 26 uznał za niewinnych, 91 postanowił udzielić naganę, 33 skazał na 3 dni aresztu, 25 na 7 dni, 13 zaś postanowił uwolnić z uniwersytetu na jeden rok, zostawiając im prawo wstąpienia doń znowu po upływie tego czasu, co też może niektórzy z nich uczynią, jeżeli nie znajdą się za daleko od stolicy i wszystkich miast głównych kraju.

Zamięszania moskiewskie więcej materyału dają do polemiki dziennikom rozmaitych kierunków. Stronnicy korporacyj studenckich, autonomii uniwersytetu walczą z przedstawicielami innej strony, życzącej sobie przedewszystkiem trzymania młodzieży w ścisłych karbach pod dozorem władzy, stojącej po za obrębem zakładów. Wiadomość podana przez pisma o zamiarze nowego ministra oświaty przywrócenia pierwotnego znaczenia ustawie roku 1863, dała hasło do tem gorętszej polemiki. Niektóre pisma, zwłaszcza moskiewskie, oburzają się na myśl podobną, zwracając uwagę na to, że ustawa ta, czyniąc korporacyę profesorską niezależną od wszelkiej kontroli, jest właśnie główną przyczyną nieporządku uniwersyteckiego. gdy tymczasem profesorowie powinni być odpowiedzialni za studentów przed władzą wyższą i obowiązani zawsze ręczyć za nich. Wymówki coraz to częstsze dotykają p. Saburowa (byłego ministra oświaty) za to, że korzystając z czasowego zawieszenia wzmiankowanej ustawy, mającej wówczas uledz wielkim zmianom, dozwolił rozwijać się i urzeczywistniać projektom korporacyj studenckich zebrań (tak zwanych „schodok“) i t. d., na których oprócz kwestyj kasowych, kuchennych i t. p. podnoszono również zagadnienia całkiem innej natury. Władze uniwersyteckie, spostrzegłszy to, czuły się w obowiązku zabronienia nadal podobnych zebrań ogólnych, opór zaś ze strony pewnej części studentów (254 z 2.500) doprowadził do kroku stanowczego, do przywołania policyi i oddania pod sąd kilkuset studentów. Gdy policya opasywała budynek uniwersytecki, z tłumu ludu, przypatrującego się temu widowisku, oddzieliła się grupa, przeważnie z drobnych handlarzy złożona, głośnymi krzykami wypowiadająca swoje chęci „połamania żeber braciom rysakowowskiej kompanii.“ Oprócz studentów, przyjmujących udział w zakazanem przez prorektora zebraniu, sąd uniwersytecki rozpatrywał także winę ich 80 kolegów, niechcących się rozejść spokojnie 27 marca z sali uniwersyteckiej po obronie dysertacyi na stopień doktora ekonomii politycznej prof. Iwaniukowa, podczas której dziekan pozbawił prawa głosu jednego z nieurzędowych oponentów, studenta 5-go kursu, dowodzącego, że twierdzenia profesora co do zupełnego braku związku pomiędzy socyalizmem naukowym a „ulicznym“ są mylne. Wyrok sądu okazał się surowym: 140 studentów zostało skazanych na opuszczenie zakładu.

Zakłady średnie także poczęły na nowo bardzo zajmować publiczność; zwłaszcza realne i techniczne. Senatorowie rewidujący mają otrzymać instrukcye co do zbadania stanu szkół, wpływu ich, potrzeby otwarcia nowych zakładów realnych i t. d. Dawny projekt założenia wyższej szkoły realnej w Wilnie zapewnie teraz już będzie urzeczywistniony, gdyż ministeryum przychylnie zapatruje się na projekt obywateli wileńskich. Wilno znowu stanie się ogniskiem umysłowem pod pewnymi względami, przynajmniej dla Litwy.

Rozmaite fakta bieżącego życia, pomimo rozpraw teoretycznych, ani na chwilę nie schodzą z porządku dziennego. Od kilku dni najwięcej słychać domysłów i pytań o osobistości niedawno schwytanej i trzymanej przez dzień cały w lokalu oficyalnym naczelnika miasta, aby ciągle zapraszana publiczność mogła się przyglądać stojącemu na stole człowiekowi, niechcącemu wyjawić swego nazwiska, i odkryć go. Klucz od mieszkania, znaleziony w jego kieszeni, był okazywany stróżom domów.

Wieść niesie, że ów nieznajomy nazywa się Isajew i że jest jednym z głównych wodzów partyi rewolucyjnej, o którym powieszona dziś Perowska, miała powiedzieć, że trudniej go będzie znaleść, niż igłę na dnie morza.

W końcu kwietnia, jak głosi telegram z Kijowa, zasiądą na ławie oskarżonych (sądu wojennego) za udział w sprawie rewolucyjnej następujące osobistości: szlachcic Kaszincew, Szczedrin, Prisieckij, syn popa Preobrażeńskij, żona lekarza Bohomolca i żona nauczyciela Kowalewskaja.

R.

Z MOSKWY.

20 kwietnia.

Zastęp wybitniejszych ludzi na polu literatury i sztuki w Rosyi ostatnimi czasy szybko się zmniejsza. Niedawno straciła ona Pisiemskiego, Millera, Dostojewskiego; d. 24 z. m. zakończył życie w Paryżu Mikołaj Rubinstein, dyrektor i założyciel moskiewskiego konserwatoryum. Chorował on niedługo; słabość rozwinęła się nagle i nikt nie przewidywał tak rychłego i smutnego jej zakończenia. Rosya, a z nią cały świat muzykalny utracił w nim jednego z najznakomitszych fortepianistów, a Moskwa, dla której wyłącznie prawie poświęcił całą swoją działalność, ulubione dziecko swoje. Popularność jego była tu ogromną, a przywiązanie, jakim go powszechnie otaczano, dochodziło do entuzyazmu.

Mikołaj Rubinstein urodził się w 1835 r. w Moskwie. Ojciec jego był właścicielem znacznych dóbr na Wołoszczyźnie, ale wskutek procesu z rządem, stracił cały majątek i przeniósł się na mieszkanie do Moskwy, gdzie założył fabrykę ołówków. Mikołaj i starszy brat jego Antoni jeszcze w dzieciństwie okazywali wielkie zdolności do muzyki. Początków udzielała im matka, pierwszorzędna w swoim czasie fortepianistka, która w 1844 r. dla dalszego kształcenia zawiozła obu synów do Berlina. Lekcye gry na fortepianie pobierał tam Mikołaj od znakomitego Kullaka, najkorzystniejszy jednak wpływ na rozwój jego talentu wywarł Mendelshon i znany teoretyk Dehn. Śmierć ojca zmusiła matkę z Mikołajem wrócić do Moskwy, Antoni zaś udał się do Wiednia. Odtąd Rubinstein nie porzucał prawie Moskwy i wstąpiwszy na tutejszy uniwersytet, ukończył na nim wydział prawny.

W 1858 r. Antoni Rubinstein założył w Petersburgu towarzystwo muzyczne. Pierwszy pośpieszył mu z pomocą brat jego Mikołaj, założywszy w Moskwie oddział tegoż towarzystwa, a następnie konserwatoryum. Z otworzeniem tej ostatniej instytucyi otworzyło się dla Rubinsteina nowe pole działalności, na którem dowiódł, że przyroda obdarzyła go nietylko potężnym talentem muzykalnym, ale nadto znakomitą energią organizacyjną. Rozwój i utrwalenie stworzonego przezeń zakładu staje się przewodnią myślą jego życia, głównym celem, dla którego poświęcił czas swój, pracę i siły. Pod ożywczym wpływem Rubinsteina zaczyna się powoli rozwijać i doskonalić smak artystyczny wśród tutejszej publiczności, która jemu głównie zawdzięcza swoje muzykalne ukształcenie. Przedtem, muzyka była tu tylko udziałem nielicznego grona ludzi, należących do wyższych sfer towarzyskich, ale i tam uważaną była więcej za zbytek i zabawę, aniżeli za potrzebę duchową. Wciągu swojej 20-letniej działalności Rubinstein dokazał tego, że muzyka stała się potrzebą całej ukształconej publiczności i w tem właśnie leży jego zasługa społeczna.

Do powiększenia jego popularności przyczyniły się jeszcze w znacznej mierze: koncerty rosyjskie, urządzone przezeń na wystawie powszechnej w Paryżu, na których z ogromnem powodzeniem zaznajamiał świat zachodni z płodami rosyjskiej narodowej muzyki, a także jego podróż artystyczna po całej Rosyi, podjęta na korzyść Czerwonego Krzyża podczas ostatniej wojny. Niezmordowana czynność Rubinsteina była doprawdy zadziwiającą i ona to może właśnie wyczerpała jego siły i spowodowała przedwczesny zgon.

Na parę tygodni przed śmiercią, z porady tutejszych lekarzy, wyjechał za granicę w towarzystwie burmistrza moskiewskiego p. Tretiakowa. Skutkiem katastrofy 13 marca, gdy Tretiakow udał się natychmiast do Petersburga, dalszą podróż odbył Rubinstein w towarzystwie dwóch dam rosyjskich, spotkanych przypadkowo. W Berlinie zmuszony był zatrzymać się przez dwie doby, a boleści w kiszkach, na które cierpiał, stały się tak gwałtowne, że, wedle słów naocznego świadka, jęki jego napełniały cały hotel. Pomimo to spieszył do Paryża, dokąd z wielkim wysiłkiem dojechał 17 z. m. i gdzie nań oczekiwała p. Tretiakowa, żona burmistrza. Boleści, które go męczyły przez całą drogę, nie opuściły i w Paryżu. Wezwano niezwłocznie najznakomitszych doktorów paryzkich, ale wszyscy orzekli jednogłośnie, że choroba jest nieuleczalną i wyrazili swoje zadziwienie, jak mogli lekarze moskiewscy narażać na tak długą i męczącą podróż człowieka, skazanego na śmierć. Nadzieja życia nie opuszczała jednak Rubinsteina do ostatka. Z damami, które go ciągle otaczały, żartował, był nawet wesół, o ile mu na to cierpienia pozwalały. W rozmowie z otaczającymi wyraził niezachwianą pewność prędkiego przyjścia do zdrowia, mówił o czekającej go działalności w Moskwie podczas wystawy i o przyszłym sezonie koncertów symfonicznych. Raz tylko wyrwały mu się słowa obawy o przyszłość; patrząc ze smutkiem na swoje wychudłe ręce, rzekł z gorzkim uśmiechem: „zdaje mi się, że moja artystyczna karyera skończona na zawsze.“ Turgeniew oraz liczni muzycy paryscy odwiedzali go często, co mu sprawiało wielką przyjemność. Na kilka godzin przed śmiercią stracił przytomność, której już do końca nie odzyskał. Brat je-

go Antoni, który spieszył doń z Hiszpanii, nie zastał go już przy życiu.

Przewiezieniem ciała do Rosyi zajął się Turgeniew. Do Moskwy przybyło ono 4 kwietnia, a we dwa dni później odbyło się uroczyste przeniesienie zwłok z dworca kolei żelaznej moskiewsko-brzeskiej do cerkwi uniwersyteckiej. Uznanie ogólne, jakiem się cieszył nieboszczyk, znalazło swój wyraz w pogrzebie, urządzonym na koszt miasta, który się odbył z niepamiętną w Moskwie okazałością.

Od godziny 12-tej zaczęli się zjeżdżać na dworzec liczni wielbiciele talentu zmarłego, a o wpół do drugiej wszystkie sale i korytarze przepełnione były publicznością. Wagon, w którym mieściło się ciało, obity był czarnem suknem; otaczała go rodzina, koledzy i przyjaciele nieboszczyka. Około godziny drugiej, po przybyciu duchowieństwa, profesorowie konserwatoryum wynieśli na swych barkach trumnę i złożyli ją na katafalku, zaprzężonym w 6 koni. Przed orszakiem postępowało duchowieństwo, poprzedzane przez 7 profesorów konserwatoryum, mających każdy po dwóch asystentów i niosących ordery nieboszczyka. Pochód rozpoczynały deputacye z wieńcami ze świeżych kwiatów, towarzystw i instytucyj, tak miejscowych, jako też petersburskich i prowincyonalnych, a których wyliczenie zabrałoby zawiele miejsca. Katafalk i osoby znajdujące się przy nim otoczone były wieńcem z zieloności, którą niosło 60 uczniów konserwatoryum. Orszak pogrzebowy, któremu towarzyszył niezliczony tłum ludności, ciągnął się przez półtory wiorsty. O godzinie trzeciej pochód żałobny, zatrzymawszy się w drodze na chwilę przed konserwatoryum, którego fasada przystrojona była czarnem suknem i żałobnemi flagami, przybył do cerkwi, ubranej wewnątrz laurowemi drzewami.

Ciało złożono w Daniłowskim monastyrze, a grób przykryto tymczasowo drewnianą płytą z napisem: „Moskwa Mikołajowi Rubinsteinowi.“

D.

AKT OSKARŻENIA HR. TARNOWSKIEGO

(przeciwko najnowszym powieściopisarzom).

Kraków, 15 kwietnia.

Rzecz dziwna, klerykalno-pańskie pisma warszawskie, które tak czujnie nasłuchają i opowiadają swym czytelnikom, co złotousty hrabia o literaturze naszej gdziekolwiek wyrzec raczy, nie dosłyszały, czy też nie opowiedziały aktu oskarżenia, odczytanego publicznie w Krakowie, którym szan. prokurator krytyki polskiej posadził najnowszych powieściopisarzów naszych na ławie podsądnych. A przecież był to akt ciekawy i wzbogacił sajdak stańczykowski nowym pękiem strzał — zatrutych.

Poznajmy go w głównej osnowie.

Pierwszym winnym był Lam.

Pannie Emilii nie poskąpił prelegent kilku wyrazów słodszych, ale nad innymi tak cierpko się skrzywił, że aż usta słuchaczów czuły smak octu. Zwłaszcza *Dziwne Karyery* ściągnęły na siebie obrzydzenie delikatnego gustu. Prawda w nich tak naga, charaktery osłonięte gazą pseudonymów tak przejrzystą — fi!

Uroniwszy kilka łez nad zgonem dawnej gawędy szlacheckiej, której jedyny przedstawiciel, autor *Kłopotów starego komendanta* już się wyczerpał, ruszywszy litościwie ramionami nad mużą pani Marrené, która jest gorszą niż zła, bo mierna, hr. T. położył na swym anatomicznym stole *Meira Ezofowicza* pani Orzeszkowej. Dla czego *Meira?* Bo on otwiera najszersze ujście stańczykowskim wybuchom.

Przedewszystkiem jest to plagiat, a mianowicie powtórzenie Niemcewicza *Lejbe i Siora.*

Ale to rzecz najmniejsza! Stokroć gorszą jest, według p. T., tendencya. Jak można radzić, aby czytelnik uścisnął dłoń żyda? Taka rada to tolerancya, a tolerancya to bezwyznaniowość, a bezwyznaniowość to niepatryotyzm, zdrada kraju! Po strzemieniu tej logiki hrabia profesor dosiada swego stańczykowskiego konika i nuż ciąć na lewo i na prawo, a każda rana jest ciężką, bo trafia w to, co każdemu z nas, a i autorce, jest najdroższem.

Ex re generis zapewne dostało się i p. Maryi Konopnickiej za trzy obrazki, wydrukowane w Wilnie u pani Orzeszkowej, pod tytułem *Z przeszłości.* Bo też zuchwalstwem jest utrzymywać, że po za granicami świata katolickiego można spotkać objawy piękna i sprawiedliwości. To więcej niż zuchwalstwo, to także wykroczenie przeciwko patryotyzmowi, który jest tylko jeden jedyny, powszechny, katolicki, krakowski!

Z kolei przywołany został Okoński.

Inni otrzymali cięcia, z tego będzie drobno posiekany kotlet.

Co to znaczy? Trzy powieści *O życie* hr. T. nazwał „bardzo *ładnemi*, a ich autora „jedynym talentem.“ (Według prelegenta jest dwóch takich jedynych; drugim Litwos). Uspokójmy się, Okoński odpokutuje za to jedynactwo.

Surowy prokurator zaczął badać: *Karla Kruga, Chawę Rubin* i *Damiana Capeńkę.* Chociaż to ładne, ale realistyczne, a realizm sprzeciwia się tradycyi.

Największe jednak gromy wywołały jednobrzmiące prawie zakończenia tych powieści: przebaczenie dla *Kruga, Chawy Rubin* i *Capeńki*, oraz przedmowa. Prelegent w przebaczeniu tem widzi najwyższe bluźnierstwo. Wszak Bóg nawet nie wszystkie winy przebacza, — więc p. Okoński jest wyrozumialszym od Boga? I dalejże znowu na ultramontańskiego konika! Zarzut antipatryotyzmu jeszcze raz przed słuchaczami przedefilował.

Niedość tego. Usłużny prelegent, uzupełniając jakoby historyę tych trzech postaci, wskazał nam brata *Kruga* jako bismarckowskiego urzędnika i niemczącego nas kulturträgera, a obecnie redaktora *Norddeutsch. Allg. Zeitung* i autora ostatnich o nas artykułów, potem brata *Chawy*, rozpajającego chłopów, wreszcie coś tam jeszcze o bracie *Capeńki.*

Powiedział ktoś, że z każdego dzieła można ułożyć na autora wyrok śmierci. Jestto prawda, jeśli zwłaszcza dopuścimy uzupełnienia w rodzaju tych, jakie czyni pan Tarnowski. To też można się założyć, że za pomocą takiej procedury nawet z broszur hrabiego profesora można ustawić szafot dla... autora.

Klemensowi Borucie przyznał okoliczności łagodzące, chociaż go nie uwolnił od winy. Wniosek zaś całego wywodu taki, że p. Okoński jest „jedynym talentem,“ lecz dotknięty pod względem sztuki realizmem, a pod względem politycznym „jeszcze gorzej“ (pewnie kanibalizmem).

W końcu wystąpił najmniej oskarżony Henryk Sienkiewicz. Z tym p. prokurator krytyki obszedł się delikatnie, prawie po ojcowsku. Dla czego?

Dotąd Litwos — według hr. T. — jest tylko artystą, lecz do żadnej nie należy partyi, a byłby dla *każdej* (adres znany) pożądanym nabytkiem.

Obok więc wielkich pochwał było kilka napomnień, że zbyt czarno świat nasz maluje, że nie zaznacza swych postaci jako wyjątki tylko, że jest za bardzo przygnębionym i rozgoryczonym. A więc: *Sursum corda!* woła hrabia utalentowanemu autorowi, ale w tej chwili dodaje przestrogę, aby pamiętał o drugiej części tego zdania i powtarzał: *...habemus ad dominum.* I w ten sposób finalny akord zabrzmiał znów na ultramontańskim instrumencie.

Cudowny ten hymn stańczykowski przebrzmiał, akt oskarżenia się skończył, krakowianie westchnęli nad wskazanymi im znakami Sodomy i Gomory, a zatwardziali grzesznicy jak broili, tak pewnie dalej broić będą.

J. B.

MALARSTWO I RZEŹBA.

I.

W przerwach pomiędzy tworzeniem wielkich obrazów historycznych, Matejko rzuca na płótno szkice energiczne, śmiałe, nieraz krzyczące papuziemi barwami, będące niedbałą igraszką znakomitego pędzla. Mamy w Warszawie obecnie dwa takie szkice, przedstawiające dwa ważne momenty dziejowe, dwa bezpłodne tryumfy królów polskich. Na pierwszym, znajdującym się w salonie p. Krywulta, widzimy *Sobieskiego*, który pod Wiedniem dociera w zwycięzkim zapędzie do obozu samego wezyra i jednym zamachem krzywej szabli ścina łeb tureckiemu wojownikowi, dzierżącemu, jak się zdaje, zieloną chorągiew proroka, którą król wydziera mu ze zmartwiałej dłoni. Główna ta grupa, pomyślna zbyt ryzykownie, jest nieprawdopodobną w ruchu i układzie. Daleko lepsze są obustronne epizody wojenne, a mianowicie popłoch w obozie tureckim, przedstawiony w pełni gorączkowego ruchu, oraz szybkie natarcie polskiej konnicy, pędzącej w zbitych szeregach, które na drugim już planie tworzą chaotyczną niewyraźną masę. Ruch tu potężny, figury i konie na lewo w pierwszym planie są skomponowane znakomicie, całość dyszy wojenną zaciekłością, ale obok wielkich przymiotów znajdujemy także wady: jak np. głowa końska rozmiarów konewki, albo lance wojowników, sterczące w powietrzu tak, że nie zgadniesz, gdzie są osadzone. W drugim szkicu, pomieszczonym w salonie p. Ungra, a będącym przygotowawczą pracą do obrazu *Hołd pruski*, dzieje się zupełnie przeciwnie, gdyż główne figury są dobre a całe otoczenie tak niedbale zaznaczone, że nie sprawia nawet przedsmaku artystycznej illuzyi, będąc tylko bruljonowem *pro memoria* dla samego malarza. Widzimy tu pierwszego księcia pruskiego Alberta, który składa przysięgę lenniczą Zygmuntowi I, klęcząc u stóp jego na wysokiem wzniesieniu, urządzonem na rynku krakowskim koło starożytnych Sukiennic, których dachy czernieją na lewej stronie szkicu. Albert w pełnej zbroi żelaznej, pysznie namalowanej, otrzymuje inwestyturę od starego Jagiellona, przedstawionego w bardzo typowym i wiernym zarysie. Za królem stoi cały szereg dostojników kraju, z których jeden, jak się zdaje, trzyma za rękę małego chłopca, prawdopodobnie królewicza Zygmunta Augusta; przed wzniesieniem widać majaczącą w kształcie niewyraźnej plamy postać jeźdźca, na lewo grono widzów, żołnierzy i heroldów, na samym środku powiewa wielki sztandar pruski, trzymany przez samego księcia. O ile sądzić można ze szkicu, kompozycya tego obrazu przedstawi się wyraźniej, aniżeli wiele innych większych dzieł Matejki, ale to tylko przypuszczenie, gdyż w obecnym stanie ten projekt do obrazu jest w wielu szczegółach bardzo nieokreślony.

Oba te zresztą szkice są daleko mniej skończone, aniżeli inne drobniejsze obrazy wielkiego artysty; pośpiech w robocie wyskakuje w nich zbyt dla wrażenia dotkliwie, chociaż niezupełnie zaciera piętno siły i wyrazistości, właściwej Matejce, która tak często staje się zuchwalstwem w rysunku a zwłaszcza w kolorycie.

Zupełnie inne znaczenie ma znajdujący się na wystawie p. Krywulta szkic do obrazu Rossowskiego *Skazana*, do pewnego stopnia podkończony, niezmiernie miły i do-

brze odczuty, zwłaszcza w kolorycie. Pod względem wdzięku i barwności, szkic ten nawet wyższym jest od samego obrazu, który go jednak znakomicie przewyższa szerokością stylu i skończonością techniki.

Z innych dzieł pędzla, znajdujących się na tejże wystawie, zasługują na wyróżnienie Krajewskiego *Grzymisława w więzieniu czerskiem*, z główną figurą energicznej księżnej, pełną życia i charakteru; Chełmońskiego mały typowy obrazek *Schronienie przed deszczem*, dobrze odtwarzający letnią nawałnicę; pani Dulęby Maryi bardzo pięknie namalowane studyum głowy chłopca w fantazyjnej czapce, oraz udatny obrazek rodzajowy p. Mroczkowskiego *Przed kantorem loteryi w Krakowie*, przedstawiający grupy rozmaitego rodzaju graczów, przeważnie z niższych klas ludności. Ten ostatni obraz pojęty czysto realnie, nieożywiony głębszą myślą społeczną, którą tak łatwo, tak zgodnie z głębszą prawdą możnaby tu było na jaw wydobyć, zaleca się jednak życiem, barwnością oświetlenia i kolorytu bardzo dobrem wykończeniem. Niemało ma zalet także ładny krajobraz flamandzki Hermana, przedstawiający wybrzeże jakiegoś holenderskiego miasta o typowej średniowiecznej powierzchowności. Zimowy ten widok, ożywiony tłumami ludu i jasnem światłem słonecznem, jest bardzo charakterystyczny i malowniczy. Artysta, pomimo pewnej maniery w nakładaniu farb poziomymi tylko rzutami, umiał oddać trafnie całą skalę różnorodnych efektów, pochwycił charakter starych holenderskich budowli, a szczególniej udatnie oddał lśniącą przejrzystość lodu w płytach i bryłach, rozrzuconych na wybrzeżu.

Z dziedziny rodzajowej zasługuje na bliższą uwagę znajdujący się na wystawie Tow. Sztuk Pięknych obraz p. Piechowskiego *Wiejskie wesele*. Widzimy tu jeden z ostatnich momentów uczty, uświęcającej rozpoczęcie gry na bardzo niepewnej loteryi życia. Pojedyńcze postacie schwycone bardzo dobrze, pełne charakteru, począwszy od basetlistów, dudlących zawzięcie, aż do grupy podpiłych biboszów, którzy gospodarza domu biorą na ramiona, aby go w tryumfie obnosić, za wspaniale wyprawioną fetkę. I tutaj, podobnie jak w dawnych obrazach, artysta okazał się dobrym obserwatorem życia wiejskiego, uchwycił rysy typowe danej chwili, ale w technice zgrzeszył, jak dawniej, spłowiałym trochę kolorytem, oraz pewną trywialnością i twardością malowania, które nie pozwalają mu z dobrych spostrzeżeń i studyów stworzyć prawdziwego dzieła sztuki. Z mniejszych obrazków, wiszących na ścianach głównego artystycznego salonu, notujemy bardzo wdzięczny i elegancki drobiazg Merwarta *Na wędkę*, przedstawiający młodą parę nad brzegiem strumyka w czasie miłego *far niente*, podczas letniej wycieczki. Obie figury pojęte i narysowane bardzo wdzięcznie i wytwornie, ale koloryt tu nadto bladawy. Ważnym objawem dla ludzi, śledzących bliżej rozwój naszych sztuk plastycznych, jest żywszy nieco ruch, widoczny ostatniemi czasy w dziedzinie rzeźby, która u nas dotąd rozwijała się niby roślina egzotyczna, przesadzona na grunt niewdzięczny. Ostatnimi czasy nasi rzeźbiarze zdobyli się jednak na parę dzieł, tryskających wyższym talentem, z pomiędzy których na zaszczytne wyróżnienie zasługuje p. Klossa *Strącenie Tarpei*, grupa w połowie naturalnej wielkości, wykonana w marmurze, będąca obecnie najcenniejszą ozdobą małej salki rzeźbiarskiej przy Tow. Zachęty Sztuk Pięknych. Artysta zwrócił się tu do świata starożytnego, który dotąd dla rzeźby jest najwdzięczniejszą kopalnią tematów, podatnych do spokojnej i wzniosłej plastyki. Scena wybrana udatnie, od pierwszego rzutu oka uderza swą tragiczną siłą. Jest to ostatnia przedśmiertna chwila zdrajczyni, którą wykonawca sprawiedliwości strąca ze skały, mającej być odtąd miejscem zguby dla wszystkich, co tak jak ona popełnili najhaniebniejszą na ziemi zbrodnię, odstępując własnych współbraci dla wroga. Przepyszną tu figurą jest szczególniej liktor, traktowany z wielką siłą muskularną w stylu Michała Anioła, tylko bez zbytnej przesady. Figura jego jest zarazem przepysznem studyum anatomicznem i artystycznym typem, uosabiającym rzymską *vim virilem*, którą p. Kloss potrafił także uwydatnić szczęśliwie w formie słowa, w wielu pięknych scenach swego dramatu *Cajus Gracchus*, nacechowanego prawdziwie spiżową energią. Oparty kolanami o skałę ten siłacz gotuje się do fatalnego ruchu, który za chwilę zrzuci zdrajczynię na dno przepaści. Patrząc na jej postać gibką, smukłą i wdzięczną, żałujesz, że to piękne ciało wkrótce na skałach poszarpie się i połamie w masę bezkształtną. Postać jej, oparta lewą nogą na wystającym zrębie skały, uchyla się lekko w tył ruchem ostatniego instynktowego oporu, a prawą ręką, wzniesioną nad głowę, okazuje rozpacz i strach, które malują się w rysach twarzy, wykrzywionych boleśnie, ale niezbyt konwulsyjnie. W pojęciu i wykonaniu tej figury artysta założył sobie widocznie połączenie zgrozy tragicznej z gracyą niewieścią, co mu się w znacznej części udało, chociaż dla podniesienia efektu grupy mógłby bardziej wyprężyć członki zdrajczyni i nadać jej ruch nieco gwałtowniejszy. Niezależnie od tego postać ta jest istotnie piękną, ukazuje całe bogactwo cielesnych kształtów a poza jej, z wyjątkiem niezbyt estetycznie rozrzuconych włosów, jest pełną smaku i harmonii. Układ i plastyka całej grupy posiada niepospolite zalety kompozycyi i piękności w proporcyach. Pominąwszy pewne nieustosunkowanie siły zamachu liktora do wiotkości kobiety, którąby uległa o wiele mniej krzepkiemu wykonawcy prawa, całość tłomaczy się bardzo dobrze w pozach i ruchu, robi wrażenie przedśmiertnej walki, posiada wreszcie tę spoistość i skupienie mas, które jest zawsze takim ważnym przymiotem rzeźby. Z każdej strony grupa oglądana daje oku wrażenie harmonijnej i pięknej sylwety konturów zewnętrznych, nie ma miejsc niezapełnionych i czczych. Pod względem wykonania w każdym szczególe widać tu technikę bardzo wysoką, dokładną a nawet wytworną. Pod względem stylu grupa ta jest skojarzeniem klasycznej energii—w postaci liktora z bardziej nowożytną gracyą i miękkością—w figurze Tarpei. W pojęciu i ukształtowaniu przedmiotu artysta okazał najzupełniejszą samodzielność, nie krępując się żadnym szematem, ani formułą akademicką i stworzył dzieło niepospolitej wartości, które każdego widza od pierwszej chwili żywo uderza a głębszego miłośnika sztuki zadawalnia przy dalszem rozważaniu pełnią cennych, wielostronnych zalet.

LIBERUM VETO.

Manifest dyrektora Tow. Muzycznego. — Jeszcze raz „ostateczne zatwierdzenie" kanalizacyi. — Sprawa zakładu gazowego jako pociecha dla reporterów. — Felczerzy przy cyrkułach. — Tramwaje. — Kokieterya kolei iwangrodzko-dąbrowskiej. — Reformy szkolne: świadectwa spowiedzi. — Droga do Kanossy. — Tantyema w Banku Polskim. — Chroniczna rewolucya w teatrze pomimo konstytucyi. — Wystawa w pałacu Brühlowskim. — Występ prelekcyjny p. Jurkowskiej. — Odczyty przyrodników. — Składki na pomnik Mickiewicza. — Kłótnia o miejsce. — Złe towarzystwo.

Odetchnęliśmy! Dyrektor Tow. Muzycznego i przyszłej orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej wydał nareszcie ogłoszony w kilku pismach manifest, w którym określił „stanowisko, jakie wobec sztuki krajowej zająć pragnie" i obiecał, że „nie omieszka donieść we właściwym czasie o innych, dalszych planach swoich." Spokojni więc z tej strony, która nam myśleć o innych sprawach nie dozwalała, zajmijmy się porządkiem dziennym.

W zeszłym tygodniu, zawierzywszy doniesieniom pism dobrze poinformowanych, odtańczyłem z czytelnikami, jak król Dawid, powszechną radość przed arką, w której szan. Prezydent przywiózł zakon kanalizacyi Warszawy; tymczasem okazało się, że telegraf dopiero w kilka dni później przyniósł tę roskoszną nowinę. Ponieważ jesteśmy zbyt zmęczeni, ażeby ją w ten sposób uczcić po raz drugi, nie ponawiamy więc naszych pląsów, tem bardziej, że może znowu nieszczęsna kanalizacya, owa żydowska wieczna tułaczka naszej prasy, nie zakończyła swej pokuty i jeszcze potrzebuje jakiegoś ministeryalnego rozgrzeszenia.

Gdyby nawet zakończyła swą urzędową wędrówkę, nie płaczcie reporterzy, bo zostawiła córkę, która również obiecuje dożyć sędziwego wieku matki. Mówię o sprawie zakładu gazowego, który miasto chce wystawić własnym kosztem, jeśli Towarzystwo nie sprzeda obecnego za 5,600.000 rs. Ma ono wóz i przewóz, albo... albo... Ponieważ jednak przypuszczać wolno, że targ potrwa długo, oraz, że na wypadek niezgody projekt własnego zakładu gazowego jeszcze dłużej świewać będzie:

„U drzwi twoich stoję, panie
Czekam na twe zmiłowanie"—

przeto reporterzy na kilka lat mają zapewnioną swobodę polowania na wiatr w polu. A gdy to się skończy, to przecież będziemy mieli starania o Radę Miejską, w przedmiocie której najwytrwalszy z nas wszystkich, zacny Prezydent jedzie znowu do Petersburga.

Tymczasem magistrat, zanim wypróżni swe kieszenie na sprawunki kosztowniejsze, zrobił biednym bardzo ważną usługę: otworzył p. Oberpolicmajstrowi kredyt do wysokości 100 rs. na utrzymywanie przy cyrkułach felczerów, gotowych do niesienia pomocy potrzebującym. W naszem Królestwie formalności, w którem biedak ze złamaną na ulicy nogą lub ręką musi nieraz jeździć od szpitala do szpitala i nie znaleźć w żadnym przytułku, jestto „reforma" pożyteczna. W tem naszem Królestwie wiele rzeczy nauczyłem się rozumieć, tego jednak prawdopodobnie nie zdołam nigdy pojąć, na jakiej ludzkiej zasadzie można od chorego nędzarza wymagać świadectwa, dozwalającego mu korzystać z dobrodziejstw szpitalnej kuracyi. Felczerzy cyrkułowi usuną choć w części tę trudność, naturalnie jeżeli to będą rzeczywiści i ukształceni felczerzy, nie zaś małoletni Figarowie naszych razur.

Gdybyśmy sparzeni na wiadomościach o „ostatecznem zatwierdzeniu" kanalizacyi, wodociągów i t. p. fig malowanych mogli zawierzyć dobrze poinformowanej reporteryi, wypadłoby przypuszczać, że w przyszłą niedzielę czytelniku z Muranowa pojedziesz tramwajem na spacer do Łazienek. Towarzystwo belgijskie bowiem, które ma eksploatować nasze potrzeby uruchomiania się, — jak słyszymy — „bardzo energicznie się krząta;" zakupiło plac, sprowadza tabor i natychmiast wyciągnie nam taką linię kolei konnej, że przerażeni dorożkarze będą wozili według taksy nawet... żydów i kobiety (dwa najbardziej przez nich znienawidzone gatunki pasażerów).

Mniej nadziei mają wyznawcy drogi żelaznej iwangrodzko-dąbrowskiej. Niestała bowiem ta kokietka zaleca się ciągle do swych kilku wielbicieli i żadnemu nie ofiaruje swych względów ostatecznie. Jednego dnia p. Bloch z p. Wielopolskim, drugiego — p. Findeisen — słowem kaprysy, na które oczekujący pospiesznej komunikacyi z Iwangrodu do Dąbrowy zaciskają pięści i zgrzytają zębami. Jak sprawa

tych zalotów stoi obecnie, trudnoby prasą hydrauliczną wycisnąć coś pewnego z „najwiarogodniejszego źródła." Ostatni bowiem buletyn brzmi: Towarzystwo kolei warszawsko-wiedeńskiej koncesyi na drogę iwangrodzko-łódzką nie uzyska. „Jeżeli tym razem (dosłownie!) działania towarzystwa drogi żelaznej wiedeńskiej nie *odniosą skutku*, to w ciągu najdalej sześciu tygodni *będzie można* przystąpić do budowy kolei iwangrodzko-dąbrowskiej." Występują tu dwa, nader proste pytania: 1) skoro towarzystwu drogi warsz. wiedeńskiej stanowczo odmówiono, to dla czego skutek jego *działań* (chyba starań!) ma być wątpliwy; i 2) skoro koncesyi nikt nie otrzymał, to któż *będzie mógł* przystąpić do budowy „najdalej w ciągu sześciu tygodni?" Są tajemnice, których zwykła domyślność odsłonić nie zdoła.

Gdyby głos mój odzywał się w piśmie daleko słyszanem, zaraz bym rozstrzygnął tę zagadkę, wypuściwszy wzorem dzienników rosyjskich odpowiedni *balon d' essai* dla wywołania *tak* lub *nie* ze strony urzędowej. Zdaje mi się, że balon taki, schwytany i przez nasze pisma, puściły *Nowosti*, doniósłszy, że minister oświaty ma wydać nowe rozporządzenie, według którego wstępujący do wszystkich zakładów naukowych, starsi nad lat 14, winni posiadać między innymi dokumentami także świadectwo... z odbytej spowiedzi. Jeżeli wiadomość owa się potwierdzi, natychmiast wystąpię z prośbą o koncesyę na drogę żelazną do Kanossy, a tymczasem uprzejmie proszę *Przegląd Katolicki* i inne wtórujące mu organy o jak najgłośniejsze wołanie, że u nas jest „mało księży." Rzeczywiście wtedy będzie potrzeba dużo konduktorów, zawiadowców i maszynistów dla obsłużenia niezliczonej liczby pociągów pobożności.

Dla czego szczęście to ma spotkać tylko zakłady naukowe? Dla czego urzędnicy Banku Polskiego nie mieliby także legitymować się z odbytej spowiedzi? Konfesyonał powstrzymałby ich od chciwości i zazdrości, które to grzechy uwydatnił szczególnie *jeden z bankowego plebsu*, w liście pisanym do *Nowin*. Ma on bowiem dziką pretensyę, że prezes pobiera 75% tantyemy, vice-prezes 50%, dyrektorowie zaś po 66% i 50%. Pretensya to, jak mówię, dzika, bo przecież nie na to chyba Bóg stworzył dyrektora, ażeby ten pobierał wyższą pensyę, a od tego jest wyższa pensya, żeby sprowadzała wyższą tantyemę. Jasne jak słońce; niech „jeden z bankowego plebsu" spyta się każdego spowiednika.

Zresztą *concordia res parvae crescunt* (a Bank Polski urósł!), najlepiej o tem świadczy teatr warszawski, w którego łonie wre ciągły wulkan. Potrzeba jakiego Falba, któryby nam objaśnił przyczyny tego ciągłego kotłowania się żywiołów w rozbitym garnku Melpomeny. Rapacki zły, Bogusławski zły, Deryng zły, Tatarkiewicz zły, samowładztwo w zarządzie złe, konstytucya zła — głowa boli od pomysłów dogodzenia niewidzialnemu duchowi, który w tym gotującym się garnku ciągle mięsza. Wszyscy mają „wyższe pojęcia o zadaniu świątyni sztuki," i wszyscy, gdy zaczną je urzeczywistniać, okazują niższe. Zmieniono gromadę reżyserów, zmieniono prezesa, potworzono nowe godności, zwołano Izbę i Senat — pomimo to wszystko, — jak świeżo zapewniają dwa spokrewnione w tym względzie pisma — teatr przedstawia „obraz opłakanego odmętu, zamieszania, nieładu i rozprzężenia." A cóż robi konstytucya, deputaci od narodu? Ej, panowie literaci, rozdzierający swe kapłańskie szaty, czy wy czasem nie jesteście główną przyczyną tego „odmętu!" Za dużo w swoich organach krzyczycie na drugich...

Na sumieniu tych figlarzów ciąży już niejedna psota. Nawet wielu przemysłowców, mających przyjąć udział w wystawie moskiewskiej, nie okazało nam swoich wyrobów z obawy, żeby lekkomyślne sądy na miejscu nie popsuły im powodzenia na przyszłym turnieju. I dla tego też wystawa w pałacu Brühlowskim jest ilościowo bardzo ubogą: trochę piwa, butów, narzędzi mechanicznych, stolarskich i t. d. Przyznać wszakże trzeba, że pod względem jakościowym wyroby te odznaczają się bardzo pomyślnie i rokują Królestwu tryumf w Moskwie. Jednocześnie na placu Ujazdowskim wzniesiono już parkany i namioty dla wystawy inwentarza żywego w czasie wyścigów konnych i jarmarku wełnianego. Tu popis ma być okazały.

W każdym razie szczęśliwszy zapewnie niż popis p. Jurkowskiej na katedrze w Ratuszu. Szanowna nauczycielka z Płocka przypuszczając, że Warszawa jest jeszcze bardzo młodą i nieukształconą panienką, postanowiła jej to i owo powiedzieć o literaturze powszechnej. Skutkiem wynikłej stąd pomyłki nastąpiło obustronne rozczarowanie, którego ujawnioną w innych pismach nagość, przez szacunek dla dobrych chęci prelegentki, osłonię milczeniem. O ile zaś katedra publiczna potrzebuje po tym niefortunnym występie pewnej poprawy umysłowego kredytu, dopełnią tego niezawodnie przyrodnicy, którzy rozpoczęli szereg spojonych treścią odczytów w Resursie Kupieckiej.

Z drugiej strony, kto wie, czy p. Jurkowska nie miała pewnej racyi, przypuszczając śród nas brak elementarnej znajomości dziejów literatury powszechnej, jeśli rezultat składek na pomnik Mickiewicza nie dobiegł jeszcze 2,000 rs., a złożyć trzeba kilkanaście. Może my rzeczywiście mało wiemy o swoim największym poecie. Poczciwy *Tygodn. Ilustrowany* podstawia skarbonkę—rzadko kto w nią grosz wrzuci. Zamiast ofiar, nadsyłają mu rozmaite projekta, gdzie pomnik postawić należy. Jedni radzą pod Wawelem, drudzy między ulicą Floryańską a Sławkowską, inni na placu Szczepańskim, a znalazł się nawet taki, do tego „wieśniak," który tak usprawiedliwia w *Tygodn. Ilustr.* niechęć do rynku: „Rynek miejski dla króla naszych poetów, który od zgiełku ulicznego wiecznie stronił, byłby miejscem najmniej odpowiednim. Autor *Dziadów* miałby tam wieczne towarzystwo wekslarzy, dorożkarzy i słynnych z gwarliwości przekupek krakowskich." Pozwolę sobie zrobić uwagę *wieśniakowi*, że gdybyśmy w wyborze miejsca chcieli się kierować tem, od czego Mickiewicz stronił, to przedewszystkiem nie należałoby mu stawiać pomnika w Krakowie, lecz gdzie nad brzegiem Niemna lub Wilii. Powtóre towarzystwo dorożkarzów z pewnością by mu nie ubliżyło, tak jak nie ubliża w Warszawie Kopernikowi. A wreszcie i to coś znaczy, że przez sąsiadowanie przekupki i inne kanalie dowiedziałyby się może, kto był Mickiewicz, tak jak warszawscy dorożkarze i tragarze wiedzą, kto był Kopernik.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Okolica Łęczycy doznała silnego wzruszenia po wypadku, który rozsnuł się w prawdziwy dramat. Pewnego dnia, skutkiem zapewnie jakiegoś raportu, p. minister finansów wysłał do Królestwa tajemnego rewizora. Rewizor ów, nazwiskiem Pietropawłowskij, przybył naprzód do Łodzi, gdzie ukrywszy swój charakter, pochwytał nici akcyznego spisku, z których jedna zaprowadziła go do osady Grabowa, niedaleko od Łęczycy, a właściwie do gorzelni tam się znajdującej. W chwili gdy nikt, bo nawet miejscowi dozorcy akcyzni nie oczekiwali tak pożądanego gościa, zjawia się on do fabryki i zaczyna ją troskliwie badać. Na wstępie jednak spotyka go nieszczęście: podczas odkręcania jakiejś śruby, para buchnęła tak gwałtownie, że poparzyła najbliżej stojących a między nimi — rewizora. Inni wezwali lekarza, p. Pietropawłoskij zaś sędziego śledczego. Niebawem przybyli i urzędnicy akcyzni. Po starannych poszukiwaniach znaleziono pod podłogą zwiniętą kiszkę dla spuszczania okowity do piwnicy. Tymczasowy rezultat odkrycia: właściciel gorzelni osadzony w więzieniu, nadzorca 7-go okręgu akcyznego powiesił się, a rewizor na kuracyi. Pretensya skarbowa ma wynosić około 800,000 rs.

Najszczegółowiej opisujący to zdarzenie korespondent *Wieku* podrwiwa z ułowionego fabrykanta, z policyi i t. d. Nam się zdaje, że podrwiwać niema czego. Lepiej zwrócić uwagę na olbrzymie opodatkowanie u nas okowity, które ciągle pobudza do nadużyć. Jeżeli produkt surowy na wiadro kosztuje 2 rs. 50 kop. a opłata od niego przeszło dwa razy tyle, bo 5 rs. 60 kop., to doprawdy trudno się dziwić słabości ludzkiej, usiłującej tajemnie obejść prawo. W Prusach gorzelnicy nie mają pod podłogą tajemnych kiszek, bo więcej straciliby schwytani, niż zarobić mogą nieodkryci, bo umiarkowany podatek nie demoralizuje ich. U nas bezprzykładna nieproporcyonalność kosztu produkcyi do jej akcyzy kusi ciągle i kusić będzie mimo wszystkich urzędników, strażników i rewizorów. Smutne doświadczenie jednego uczy innych tylko... staranniejszego ukrywania nadużyć.

* *
*

Bieda kurpiów doczekała się szybko starannej i uorganizowanej opieki. Warszawski Jenerał-Gubernator dozwolił komitetowi, zajmującemu się w roku zeszłym wsparciem dla Sandomierzan, działać na korzyść kurpiów. Na miejsce nieszczęścia wysłano już trzech delegatów: Czaplickiego, proboszcza z Przasnysza, J. Żurawskiego i S. Rykowskiego, okolicznych obywateli ziemskich. Komitet przybrał do pomocy kilku księży i ziemian. Kasyerem jest p. Goldstand w Warszawie. Pisma rozpoczęły zbierać składki. Ogólna liczba głodnych wynosi 950 rodzin, około 4,000 ludzi. Przypuszczalny fundusz na uśmierzenie głodu obliczono do 18,000 rs. Dotąd ofiary idą skąpo. Czy kraj nasz wysilił się na szląz[illegible]ków, czy też zniechęcił się do tego rodzaju jałmużny, ochłodzony w swych szlachetnych uczuciach?

* *
*

Wszystkie pisma nasze wybuchnęły homerycznym śmiechem. Zjazd sędziów pokoju 1-go okręgu gubernii kaliskiej skazał do Osad Rolnych *dziewczynę*. Dotąd więc ani jeden z sędziów nie dowiedział się, że do Studzieńca przyjmowani są tylko chłopcy. No, i cóż dziwnego, że Zjazd radomski jeszcze nic nie słyszał o decyzyi Senatu w sprawie Jackowskiego. Komunikacye prawne są u nas bardzo ciężkie. A jednakże, ręczymy, że w Paryżu i Londynie wiedzą.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 kwietnia.

Sprawa tunetańska weszła w okres działania wojennego, któremu towarzyszą charakterystyczne symptomata opinii publicznej. Wobec stosunku sił stron walczących z góry wiadomy jest rezultat; a przecież mimo to cała Europa z gorączkowem niemal zaciekawieniem śledzi bieg wypadków i niecierpliwi się ich powolnością. Objaw ten wytłómaczyć można tylko przeświadczeniem, że zatarg Francyi z bejem Tunisu jest właściwie tylko zarod-

kiem ogólniejszego zawikłania, które sprowadzić może w następstwie swojem rozkład tak zwanego koncertu europejskiego, o ile on jeszcze wychodzi cało z gry na półwyspie Bałkańskim. Bej Tunisu, zasłaniając się swoim stosunkiem lenniczym do Porty Otomańskiej. za radą naturalnie swego ukrytego doradcy, konsula Włoch, zaangażował już Turcyę w sprawę, a w dalszem rozwinięciu zwrócił się z protestem przeciw najazdowi francuskiemu do mocarstw europejskich, żądając ich sądu. Jaki skutek apelacya ta osiągnie bezpośrednio, dotychczas niewiadomo; bądź co bądź, rzecz jest na najlepszej drodze do gruntownego powikłania interesów, a tem samem do otwarcia nowego turnieju dla zbiorowych popisów dyplomacyi, które ostatnimi czasy weszły niejako w modę.

Co do samych operacyj wojennych w Tunisie, to do tej chwili wiemy o nich tylko tyle, że się rozpoczęły i rozwijają się powolnie z powodu złego stanu powietrza. Ważniejszych starć dotychczas niebyło.

Jednostajność nudnych operacyi dyplomatycznych na Wschodzie doczekała się z wiosną urozmaicenia w postaci powstania albańskiego. Liga, którą przedstawiano swego czasu jako nieistniejący wytwór dyplomacyi tureckiej dała się widać we znaki Porcie Otomańskiej, skutkiem czego rząd sułtana wyprawił Derwisza paszę z 25 tysięcznym korpusem dla poskromienia niesfornych albańczyków, którzy ze swej strony wystawili także około 20.000 zbrojnych do walki z wojskiem tureckiem. Pierwsze starcia wypadły pomyślnie dla oręża tureckiego, wyprawa atoli nie ukończyła się jeszcze. Ostatnie wiadomości stwierdzają fakt, że zagraniczni emisaryusze są czynni w ruchu albańskim, co nadaje tem większe znaczenie temu ogniwu w łańcuchu zawikłań wschodnich.

Niemcy obecnie pogrążyły się już w ruch przedwyborczy, przygotowujący rolę dla zbliżającej się elekcyi nowego parlamentu. Agitacya, jak na germański temperament, idzie wcale żywo, bo też i hasło rzucone przez obóz postępowy: „za Bismarckiem lub przeciw Bismarckowi“ nadało walce opinij charakter bardzo stanowczy. Przesądzać dziś skutku niepodobna jeszcze: wszelako dość wybitnie już zarysowuje się wzmocnienie kierunku opozycyjnego względem polityki kanclerza. Nawet w własnych najwierniejszych jego szeregach objawia się odstępstwo. Mianowicie w łonie partyi t. zw. „agrarystów“ konserwatywnych powstała secesya pod wodzą p. Wagnera, który był jednym z poufnych ks. Bismarcka, a dziś występuje jako jego opozycyonista.

St.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Konkursa. Jeden z pedagogów miejscowych ogłosił za pośrednictwem redakcyi *Kłosów* konkurs na wybudowanie gmachu szkolnego, w którym mieścić się ma szkoła z pensyonatem. Projektodawca ustanowił dwie nagrody: 500 i 200 rs., które przyznane będą dwu planom architektonicznym, które sąd konkursowy uzna za najlepsze. W skład sądu tego wejść mają i dwaj budowniczowie, dwaj nauczyciele i jeden lekarz.

Termin ostateczny do przedstawienia planów oznaczono na dzień 1 grudnia r. b.

Bliższej wiadomości udziela redakcya *Kłosów*.

— Akademia umiejętności w Turynie przypomina za pośrednictwem gazet włoskich, iż z dniem 1 stycznia r. 1879 otwarty został konkurs, w którym, według życzenia testatora d-ra Cezara Aleksandra Bessy, mogą wziąć udział uczeni i wynalazcy wszelkich narodów.

Korkurs ten ma na celu wynagrodzenie uczonego lub wynalazcy, który w ciągu czteroletniego peryodu od 1879 do 1882 r., według uznania akademii umiejętności w Turynie, dokona odkrycia najwybitniejszego i najpożyteczniejszego, albo też, który napisze dzieło najlepsze z nauk fizycznych, z historyi naturalnej, matematyki czystej albo stosowanej, chemii, fizyologii i patologii, nie wyłączając geologii, historyi, geografii i statystyki.

Konkurs zamknięty będzie w dniu 31 grudnia roku 1882.

Nagroda wynosi 12,000 franków.

Literatura polska. Nakładem Akademii Umiejętności w Krakowie opuścił prasę IV tom *Zbioru wiadomości do antropologii krajowej*. Tom ten zawiera następujące prace:

Poszukiwania archeologiczne w r. 1878, przez ks. A. Brykczyńskiego; *Wycieczka antropologiczna nad rzekę Swider w r.* 1878, przez K. Dudrewicza; *Mogiła w Helenowie, pow. wasilkowski na Ukrainie, zbadana w r.* 1879, przez E. Rulikowskiego; *O malowanych naczyniach w Wielkiem Księstwie Poznańskiem*, przez Wł. Jażdżewskiego; *Badania geologiczno-antropologiczne z r.* 1879 *w jaskiniach okolic Krakowa*, przez Godfryda Ossowskiego, oraz *Porzecze Wieżycy i przyległe im wybrzeża Wisły*.

W tymże tomie mieści się praca antropologiczna d-ra Józefa Majera p. t. *Roczny przyrost ciała u żydów galicyjskich, jako przyczynek do ich charakterystyki fizycznej*, jak również cenne materyały do etnologii polskiej, zebrane przez A. Podberezskiego (z Ukrainy), ks. Wł. Siarkowskiego (z okolic Kielc) i J. Grajnerta (z okolic Wielunia i Radomska).

— Wyszedł z druku zeszyt drugi pracy p. F. Flamma *O wekslach i czekach*.

— Swieżo opuściły prasę szkice biograficzno-literackie Walerego Przyborowskiego p. t. *Niewieście ideały poetów polskich*.

— Józef Sosnkowski, starszy probierz rządowy, wydał monografię p. t. *Złoto, srebro i drogie kamienie*. Podręcznik ten dla pragnących obeznać się z wartością i próbą złota i srebra w monecie i wyrobach, oraz wartością drogich kamieni, jest pierwszą i jedyną dotychczas w naszym języku pracą tego rodzaju.

— Wyszła z druku powieść Teod. Jeske-Choińskiego p. t. *Za winy ojców*.

— Lange, *Historya filozofii materyalistycznej*, w tłom. A. Świętochowskiego, zeszyt IV i V. Zeszyty te kończą pierwszy tom znakomitego dzieła.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Bielitz na Szlązku austryackim zaczęło wychodzić od 1 kwietnia r. b. nakładem Roberta Hinke oryginalne wydawnictwo peryodyczne p. t. *Manuskriptblatt*. Jest to tygodnik, przeznaczony głównie dla drukarzy, redaktorów i wydawców gazet, kalendarzy i t. p. i ma na celu dostarczanie im obfitego zapasu utworów literackich, dla zużytkowania ich w każdym czasie.

Literatura niemiecka. Corrodi August, *Der Sang vom Aerger*. Wydane w Zurichu w księgarni Trüba, r. 1881.

— Księżna Elżbieta rumuńska, *Rumänische Dichtungen*, w tłomaczeniu niemieckiem przez Carmen Sylva. Wydane w Lipsku r. 1881.

— Hanschorst Jul. Dr., *Ueber den Einfluss der Ueberbürdung unserer Jugend auf den Gymnasien mit Arbeit auf die Entstehung von Geistesstörungen*.

— Ernest Schulze, *Skizzen hellenischer Dichkunst*. W Gotha u Perthesa.

— E. Fleissner, *Handbuch der Kryptographie*. Wychodzi poszytami w Wiedniu nakładem firmy Seidel i syn.

Literatura francuska. *Moines et Nonnes, Histoire, Constitution, Règle, Costume et Statistique des Ordres Religieux*. W Paryżu nakładem Fischbachera.

— Goncourt, *L'art du dix-huitième siècle*, wydane w Paryżu u Riekera.

— Tissot et Amero, *La vie en Sibérie. Aventures de trois fugitifs*.

Literatura rosyjska. W Petersburgu wyszło ciekawe dzieło p. Michniewicza p. t. *Warszawa i Warszawianie*.

— I. Juzow, *Ruskije dissidenty. Starowiery i duchownyje christianie*. Petersburg.

— I. Iwaniukow, *Osnownyja położenija teorii ekonomiczeskoj polityki s Adama Smita do nastojaszczawo wremieni*. Moskwa.

Malarstwo i rzeźba. Munkacsy ukończył nowy obraz znacznych rozmiarów, przedstawiający *Chrystusa przed Piłatem*. Obraz ten wystawiony będzie w Salonie paryskim.

— Na wystawę warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przybyły dzieła następujące: Buchbindera Józefa *Święty Stanisław wskrzeszający Piotrowina;* Bilińskiej Anny *Siostra miłosierdzia;* Gersona Wojciecha *Jadwiga i Dymitr z Goraja;* Gościańskiego Władysława 5 akwarel i *Ruiny zamku Esterki;* Murzynowskiego Antoniego *Portrety artystów i Zamojski u Kochanowskiego;* Maleckiego Władysława *Przewóz na Wiśle pod Krakowem* i *Chiemic w Bawaryi;* Modersteina Dawida *Portret mężczyzny;* Shouppé Alfreda *Wodospad w Tivoli* i *Klasztor Benedyktynów w Subiaco;* Strzałeckiego Wandalina *Portret własny, Otrucie ostatniego księcia mazowieckiego* i *Powieść Rybałta;* Unierzyskiego Józefa *Poranek;* Praca konkursowa *Popiersie Mianowskiego* (z gipsu).

— W Gandawie odkryto nieznany obraz Rubensa. Zaopatrzony jest on w podpis mistrza i datę r. 1664.

Muzyka. Uroczystość muzyczna meklemburska odbędzie się w połowie maja w Szwerynie. Między innymi utworami wykonanemi będą *Msza na D* Bethowena i *Samson* Händla.

— W Turynie odbędzie się w d. 5 i 6 czerwca r. b. wielki konkurs muzyczny dla stowarzyszeń spiewaków i orkiestr.

Teatr. *W Folies dramatiques* wystawiono z powodzeniem operetę p. t. *Lalki infantki*. Muzyka p. Grisart, libreto pp. Bocaye i Licrat.

Na scenie krakowskiej wystawiono dramat M. Romanowskiego p. t. *Popiel i Piast*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.